Nr. 95. Lwów — Czwartek dnia 25 Kwietnia. Rok 1901.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi
w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o narzeczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ekspedycya i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie Agencya Dzienników Zagranicznych we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na całe numera na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Marka Ew. | Wasyłya
Jutro: św. Kleta i Marc. | Artemona

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 4 m. 59
Zachód „ „ 6 m. 56

Długość dnia godzin 13 minut 58
Przybyło dnia od wczoraj 6 min.

Wojna przeciw Kościołowi.

Dzikie awantury, które na półwyspie pirenejskim wyprawia radykalny motłoch, poruszany jak papierowy pajac przez masonów, wydają już smutne owoce, — smutne dla obu tamtejszych słabych i ubogich krajów. W którym z nich gorzej, trudno osądzić, bo w obu fatalnie, obydwa już są podmywane przez rewolucyjne fale. W Portugalii już niemal nastąpiło jawne wypowiedzenie religijnej wojny; lada dzień oczekiwane jest odwołanie nuncyusza po wyczerpaniu przez Stolicę Apostolską wszystkich środków łagodnej perswazyi. Naglony przez tak zwanych liberałów, król Karol podpisał dekret takiej treści: „Bezprawnie i naprzekór życzeniu narodu powstały w państwie różne religijne stowarzyszenia, oraz instytucye, kierowane przez osoby stanu zakonnego. Przeto rozkazujemy, aby wszystkie te stowarzyszenia bez żadnego wyjątku były rozwiązane, a instytucye zamknięte. Dozwolone ustawami zakłady, kierowane przez duchowieństwo, czy to dobroczynne, czy naukowe, są obowiązane przedstawić rządowi swe statuty do zatwierdzenia, jeżeli zaś tego nie uczynią, powinny być rozwiązane. Ponieważ nader często naruszany jest edykt z 5 sierpnia r. 1833-go, nakazujący każdemu, kto chce przyjąć śluby zakonne, uzyskać na to pozwolenie rządowe, przeto zakazuje się wykonywania tych ślubów, a przyjęte nieprawnie ogłasza się za nieważne". — Władze państwowe natychmiast zaczęły wykonywać ten dekret w sposób bardzo drastyczny i ostentacyjny: zawsze w towarzystwie hałasującej gawiedzi poczęła policya wpadać do klasztorów, ochronek i szpitalików, utrzymywanych przez zakony, i szukać tam „nielegalnych" zakonników lub zakonnic. Liberałowie gorliwie pomagają rządowi. W Oporto powstała „liga ruchu antiklerykalnego", której członkowie na własną rękę wyszukują „nadużycia", to jest wyszukują osoby, które bez rządowego pozwolenia poświęciły się życiu zakonnemu, wyszukują fakty, świadczące o tem, że klasztor bezprawnie kogoś przygarnął, kogoś wyleczył, albo, że zakonnik spełnił względem kogoś obowiązek parafialnego proboszcza, — i o takiem „nadużyciu" zaraz donoszą władzy państwowej. Taka sama liga pod nazwą „bractwa wolnej myśli" powstała w Lizbonie, Bai, Bragancy, Aveirze, Setubalu i innych drugorzędnych miastach. Wskutek takich prześladowań już się wynieśli z kraju Salezyanie i SS. św. Doroty — kongregacye, poświęcające się wychowaniu bezdomnej dziatwy. Franciszkanie, którzy kierowali patryarszem seminaryum w Lizbonie, odjechali do Rzymu. Skoro rząd i liberałowie rozpoczęli taką prześladowczą akcyę, to nie dziw, że się wśród tłumów znalazły jednostki anarchiczne, które zaczęły podkładać pod klasztory i kościoły dynamitowe bomby.

Papież wystosował do patryarchy lizbońskiego pismo pasterskie, wyrażające ubolewanie nad takiem zaślepieniem Portugalczyków i nakazujące modły o odwrócenie nieszczęścia. Oczywiście to pismo przyszło do patryarchy przez nuncyusza, a gdy było odczytane w kościołach, prezes gabinetu wezwał do siebie nuncyusza i w przytomności swych urzędników zrobił mu ostrą wymówkę za to, że doręczył list pasterski patryarsze, nie poprosiwszy pierwej rządu o pozwolenie na to. Była to więc impertynencya zrobiona nietylko nuncyuszowi, ale i Papieżowi, nadto zaś — pretensya bezprawna, gdyż korespondencya Apostolskiej Stolicy z patryarchą nie podlega rządowej cenzurze. Otóż dlatego stosunki Kuryi rzymskiej z rządem portugalskim będą podobno zerwane.

Wszelako dla odwrócenia tej ostateczności, a upamiętania rządu udała się liczna obywatelska deputacya pod przewodnictwem patryarchy do „liberalnego" króla Karola i otrzymała u niego najpierw ogólną audyencyę, potem prywatną z kilkoma jej członkami, wreszcie znowu ogólną. Na tej ostatniej król oświadczył, że poleci rządowi postępować z największą względnością i tłumić rozpasanie radykalnych żywiołów. Nie wiadomo, co się mówiło na audyencyi prywatnej, ale wedle pogłosek, przedstawiono królowi, że ta wojna z duchowieństwem jest wodą na młyn rewolucyi, — jakiej? — tego na razie niepodobna powiedzieć, bo przeciwnikami teraźniejszego stanu rzeczy i dynastyi są zarówno republikanie, jak migueliści; prędzej jednak można przewidywać wybuch rewolucyi na korzyść pretendenta Dom-Miguela, któremu pomoże cała katolicka ludność, przyprowadzona do rozpaczy. Takie ostrzeżenie rzeczywiście mogło zastanowić króla.

Pretendent do portugalskiego tronu Dom-Miguel urodził się w roku 1853cim i jest synem zmarłego w r. 1866ym również Dom-Miguela, który panował od 1828 do 1834, a potem na wygnaniu żył w Niemczech. Siostry teraźniejszego pretendenta są spokrewnione z licznemi dynastyami: Marya Teresa jest wdową po arcyksięciu Karolu Ludwiku; Marya Józefa wyszła za ks. Teodora bawarskiego; Marya i Antonia — za książętami domu hiszpańskiego, Adelgunda za Henrykiem burbońskim, a Marya Anna niezamężna.

Tyle o Portugalii.

W Hiszpanii minister finansów polecił swym podwładnym urzędom spisać w ciągu dni 15tu majątek wszystkich zakonów i ocenić wartość przemysłowych zajęć zakonników. Wyrabiają oni karty wizytowe, koszyki, plecionki do wycierania obuwia, tanie mydła, szaty kościelne, woskowe kwiaty do ozdabiania ołtarzy, toczą różańce, drukują obrazki świętych — i z tego żyją, z tych dochodów utrzymują przytułki i ochronki. Są w Hiszpanii zakony, uznane w konkordacie z roku 1851; są inne, które później powstały, a więc nie wymienione w tym konkordacie. Pierwsze — podług rządowego projektu — będą uznane za stowarzyszenia przemysłowe i odpowiednio opodatkowane; drugie będą rozwiązane. — Jednocześnie minister oświaty okólnikiem nakazał znieść w szkołach wykłady religii, albowiem — jak się wyraził — „naturalną i rozumną jest rzeczą, aby tylko rodzice troszczyli się o religijne wychowanie dzieci". Nie jest to jednak ani naturalne, ani rozumne, bo mnóstwo rodziców nie ma chwili czasu na doglądanie, a tembardziej na kształcenie dzieci, mnóstwo nie umie wziąć się do tego. Minister głosi w swym okólniku: „W ten sposób szkoły będą zabezpieczone od fanatyzmu i od ducha nieprzyjaznego wszystkiemu, co nowe". A czyż ten okólnik nie jest objawem fanatyzmu masońskiego? — Wreszcie minister wojny rozkazał przejrzeć spis wszystkich osób duchownych, świeckich i zakonnych, aby się przekonać, które z tych osób są obowiązane do służby wojskowej.

Sprawa chińska.

Obok kwestyi odszkodowania, obchodzącej przedewszystkiem mocarstwa, a potem dopiero Chiny, bo na każde zgoła odszkodowanie będą one musiały otrzymać pożyczkę u tychsamych mocarstw, spłacą zaś ją dochodami z ceł morskich, które już zdawna są pod zarządem zagranicy, — obok tej kwestyi najusilniej pracowali w ostatnich czasach pekińscy ambasadorowie nad przekonaniem pełnomocników chińskich, że bogdychan ze swym dworem, ale bez ciotki-regentki, powinien wrócić do Pekinu. Zapowiadano, że te usiłowania będą uwieńczone wkrótce pomyślnym skutkiem. Tymczasem nadeszła wręcz przeciwna wiadomość: bogdychan z ciotką i dworem wynoszą się gdzieś jeszcze dalej w niedostępną głąb azyatyckiego lądu. To dowodzi, że dwór lekko traktuje układy swych pełnomocników z ambasadorami i zamierza przewlekać sprawę z mocarstwami w nieskończoność. Obce wojska wyzyskały zajęty przez siebie obszar, zabrały i odesłały do Europy wszystko, cokolwiek tam znalazły cennego: książki, instrumenta astronomiczne, posągi bożków, przedmioty chińskiej sztuki, odarły świątynie i pałace cesarskie — więc już Chińczyków nie boli to, że one tam siedzą i że mogą długo jeszcze siedzieć. To tylko kłopot dla mocarstw i dla nich tylko wydatek.

Ale wymieniają jeszcze inny powód zniechęcenia się dworu bogdychańskiego do rokowań z mocarstwami. Oto, ugoda, która stanęła między Rosyą a Japonią i zażegnała między niemi przewidywany zatarg, podobno obudziła chińską podejrzliwość, że porozumienie nastąpiło kosztem Chin. Dotąd nic nie wiadomo o warunkach ugody; dowiedziano się tylko, że co do Korei otrzymała Japonia od Rosyi wszystkie żądane rękojmie i że zatem nie ma ona już żadnego powodu do występowania przeciw petersburskiemu rządowi. Takie porozumienia zwykle przychodzą do skutku kosztem kogoś trzeciego, a więc w tym wypadku jednych tylko Chin. Stąd prosty wniosek, że za ustępstwa w Korei zapłaciła Japonia rządowi petersburskiemu przystaniem na rosyjskie zamiary względem Mandżuryi. Wiadomo, że Rosya nie zwracała uwagi na protesty mocarstw, a cofnęła swój projekt traktatu o Mandżuryę dopiero wtedy, gdy Japonia zaczęła się zbroić, jeżeli więc teraz nastąpiło porozumienie rosyjsko-japońskie, to rząd petersburski, lubo zapewne nie wznowi starań o traktat, jednak nie ustąpi z Mandżuryi, a takie przypuszczenie skłania bogdychana do zajęcia stanowiska wyczekującego. — Tak określają teraźniejszą sytuacyę w Chinach korespondenci stamtąd do pism zachodnio-europejskich.

Z Koła polskiego. — Wniosek Schoenerera — Bójki.

Piszą nam z Wiednia, 23 kwietnia:

Koło polskie zawsze jeszcze obraduje nad — sytuacyą! A przecież sytuacya ta i zadanie Koła są zupełnie jasne. Polacy pragną przywrócenia prawidłowej pracy parlamentu, co zależy w znacznej części od tego, aby nie powstała żadna zorganizowana większość, wywabiająca obstrukcyę. Naturalnie także zmiana gabinetu w tej chwili nie ułatwiłaby, lecz musiałaby znacznie utrudnić dopiero co rozpoczętą normalną czynność parlamentu. A zatem zadanie Koła polskiego jest zupełnie jasnem i trudno zrozumieć, aby zachodziła potrzeba tak długich narad i tajnych dyskusyi, aby uchwalić odpowiednią rezolucyę!

Co do ostatniego intermezza, które jedynie wskutek tendencyjnych czeskich plotek narobiło trochę wrzawy, to zasadniczo nie ulega wątpliwości, że także p. Romanowicz mógłby zostać wybrany do komisyi parlamentarnej Koła. Wszyscy członkowie Koła są równouprawnieni i nie można pomiędzy nimi rozróżniać żadnych kategoryi. Nawet dawny przeciwnik Koła, jak Romanowicz albo Danielak, przyjęty do Koła, staje się pełnym jego członkiem, nie zaś członkiem drugiej klasy, niezdolnym piastować godności w Kole. Owszem p. Romanowicz mógłby nawet zostać prezesem Koła. To pod względem teoretycznym nie ulega żadnej wątpliwości. Gdyby więc Koło było uważało za rzecz stosowną powołać p. Romanowicza do komisyi parlamentarnej, jako reprezentanta demokratycznego skrzydła, to nikt nie mógłby tego potępiać.

Ale w danym razie nie chodziło o to. Tylko sprzymierzyli się ad hoc ultra-konserwatyści z demokratami, aby usunąć p. Abrahamowicza jako „serwilistę", to znaczy: jako człowieka doświadczonego, który nie widzi zbawienia w taktyce opozycyjnej quand même, choćby nieusprawiedliwionej przedmiotowo, schlebiającej tylko ciemnym, opozycyjnym instynktom! Na kontrkandydata w takiej sprawie p. Romanowicz niezawodnie bardzo się stosował, bo należy on do rzędu tych polityków, dla których opozycya tworzy główną, jeżeli nie wyłączną podstawę czynności publicznej. W imię haseł opozycyjnych każdy zdoła sobie zjednać poparcie p. Romanowicza, choćby dążył naprawdę do całkiem innych celów, niż ten gorliwy demokrata. Z pewnością trwały sojusz pomiędzy p. Kozłowskim a p. Romanowiczem jest niemożliwy, o tem wiemy bez wszelkich zaprzeczeń. Tylko w negacyi, we wspólnej akcyi przeciwko „serwilizmowi" podają sobie rękę. W takich razach trzeba zawsze zapytać, jak w „Weselu Figara": „Qui trompe-t-on ici?" (Kogo tu oszukują?) Dzieje jednak wszystkich stronnictw uczą, że na koalicyach konserwatywnych i radykalnych zwykle tracą największe pierwsze. Tymczasem owa koalicya nie zdołała się narzucić Kołu, skoro ostatecznie p. Romanowicz przy trzeciem głosowaniu, które było decydującem, zdobył sobie jedynie 15 głosów, a zatem mniej, niż czwartą część głosów Koła. Ale nawet na próbę nie należałoby powtarzać takich popisów rzekomo „antiserwilistycznych", a naprawdę świadczących tylko o temperamencie opozycyjnym!

Na dzisiejszem posiedzeniu Izby poselskiej p. Schoenerer wystąpi z wnioskiem, dotyczącym wprowadzenia niemieckiego języka państwowego w tych prowincyach, które aż do r. 1866 należały do Rzeszy niemieckiej, a więc w całej Austryi z wykluczeniem Galicyi, Bukowiny i Dalmacyi. P. Schoenerer domaga się, aby rząd przedłożył Izbie odpowiedni projekt. W tem zatem wniosek Schoenerera różni się od dawniejszych wniosków hrabiego Wurmbranda z r. 1880 i Scharschmida z r. 1885, którzy proponowali, aby Izba z własnej inicyatywy uchwaliła odnośną ustawę. Oczywiście na razie wniosek p. Schoenerera jest jedynie demonstracyą, bo w danych stosunkach o załatwieniu tej sprawy w parlamencie nie może być na seryo mowy. *Vaterland* ze względu na to, że wniosek Schoenerera uwalnia Galicyę, Bukowinę i Dalmacyę od niemieckiego języka państwowego, zauważa, że to zatem jest „lucus a non lucendo".

Gdyby więc p. Schoenerer także dla Galicyi ustanowił niemiecki język państwowy, to, zdaniem *Vaterlandu*, byłoby to logiczniejszem! Że jednak każda reguła dopuszcza wyjątki, widzimy to w Węgrzech, gdzie dla właściwych Węgrów język madziarski jest „państwowym", gdy dla Chorwacyi jest nim chorwacki. Pomimo to węgierski język państwowy jest bardzo realną rzeczą a nie „lucus a non lucendo". Nie ulega też wątpliwości, że stosunek tych prowincyi, które od niepamiętnych czasów aż do roku 1866 wchodziły w skład cesarstwa niemieckiego, do języka niemieckiego z historycznych i geograficznych względów jest całkiem inny, niż stosunek Galicyi albo Dalmacyi do języka niemieckiego. Słowem, pomiędzy skrajnym centralizmem a skrajnym federalizmem są możliwe pewne stopniowania. W tej chwili nie warto się nad tem szczegółowo rozwodzić, bo wniosek p. Schoenerera na dziś nie ma żadnej politycznej aktualności.

Aktualność mają przedewszystkiem bójki pomiędzy Schoenererowcami a Luegerczykami. Przed kilku dniami po wiecu pierwszych na Währingu podobno pobili p. Wolfa zwolennicy Luegera. Wprawdzie Wolf uroczyście zapewnia, że go nikt nie dotknął, ale *Deutsches Volksblatt* codziennie dowodzi, że porządnie go obito. Za to dzisiejszej nocy, gdy p. Lueger opuszczał zgromadzenie w Hernals, napadli na niego Schenererowcy, znieważyli go, przewrócili jego karetę itd. Tak w tryumfalnym postscriptum donosi dziś *Ostdeutsche Rundschau*, a zatem kolej zaprzeczenia doznanej zniewagi przychodzi teraz na *Deutsches Volksblatt*.

Polacy w Berlinie.

W *Bibliotece Warszawskiej* pojawił się bardzo zajmujący opis życia Polaków w Berlinie, pióra dra Kazimierza Rutkowskiego, który niniejszem streszczamy.

Na wstępie pracy swojej autor zaznacza, że zasadniczym rysem współczesnego wychodźtwa polskiego do Niemiec jest to, że emigracyę powoduje potrzeba zarobkowania i dążność do podwyższania skali zarobkowej. W wielu miastach, jak Drezno, Berlin, Szczecin, Halla itd., już na początku XIX wieku istniały kolonie polskie. Nie powstały one na tle ekonomicznem, lecz były wynikiem politycznych wypadków. Zresztą z tych dawnych osadników polskich, rozrzuconych w mniejsze lub większe grupy po grodach niemieckich, pozostały już jednostki.

Obecny ruch zarobkowy i tworzenie się kolonij polskich w Niemczech, jest objawem ostatnich dziesięciu lat, a w żadnym razie początki ich nie sięgają pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Spis ludności w r. 1861 wykazał, że w Westfalii nie było wtedy ani jednego Polaka, a prowincye Nadreńskie i Brandenburgia (z Berlinem) podług tejże samej statystyki liczyły po 16 Polaków. Autor zaprzecza wiarygodności cyfr tych, ale kładzie nacisk na okoliczność, że w żadnej miejscowości w wymienionych prowincyach nie było osad polskich w tych rozmiarach, aby można na nie zwracać baczniejszą uwagę.

Dopiero w r. 1865, a może nieco wcześniej, emigracyę z W. Ks. Poznańskiego rozpoczęli żydzi i to wyłącznie do Ameryki, a w r. 1873 niektóre obwody, jak np. bydgoski i kwidzyński pod względem wychodźtwa stanęły na pierwszem miejscu w całych Prusiech. Z samego W. Ks. Poznańskiego między 1872 a 1877 rokiem wyszło 21,525, a ze Szlązka 12,146. Liczby te podnosiły się znacznie w miarę wzrostu potrzeb rolnictwa i przemysłu niemieckiego.

Do rozbudzenia ruchu wychodźczego przyczyniła się niemało wojna prusko-francuska z r. 1871. Autor genezę ruchu tego opiera na bardzo słusznej podstawie i twierdzi, iż Polacy, służący w armii pruskiej czynnej, w rezerwie lub landwerze, brali bezpośredni udział w wojnie, a potem przez czas dłuższy przebywali we Francyi, należąc do armii okupacyjnej. Znajdując się wśród społeczeństwa o wysokich potrzebach kulturnych, przyzwyczaili się sami do wygodniejszych warunków życia. Powróciwszy do kraju, nie mogli już przywyknąć do umiarkowanej skali potrzeb sfer robotniczych i nie mogli zadowolić się skalą zarobkową polskich prowincyj. Z tego powodu woleli się przenieść dalej na zachód i w rozwijającym się przemyśle niemieckim szukać lepszego zarobku, a wśród społeczeństwa niemieckiego, możności zaspokojenia swej rozszerzonej skali potrzeb.

1)

Polowanie pana radzcy.

Było to w roku 187... gdy byłem praktykantem.... zmieniono szefa biura.

Dawny, nudziarz, zgryźliwy, pedant, zaczynający zajęcie swe w biurze od skrzętnego ścierania prochu ze stolika starą wyłysiałą łapką zajęczą, a zapełniający cały dość szczupły lokal kłębami dymu „dreiköniga", który palił z gipsowej fajki, poszedł szczęśliwie w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Nastał mój naczelnik nowy. Młodszy od poprzedniego, o pulchnem rumianem obliczu, pełen dykteryjek, konceptów, zaś jako przełożony: pod tym względem miły, że twierdził, że każdy referat sam się powinien w połowie załatwić. Utrzymywał też zawsze w szczelnie zamkniętym przedziale swego biurka pewną ilość t. zw. „braci śpiących", t. j. referatów, które właśnie przebywały ten czas co do długości nieoznaczony i nierówny dla każdego, kiedy miały same się przetrawiać, to jest załatwiać do połowy, no a jak czasem dobrze poszło: w całości.

Dla mnie szef mój nowy był także dlatego cenny, że poprzedziła go fama zagorzałego i znakomitego myśliwego. Polowanie to właśnie było moją t. zw. pasyą i o ile wolno praktykantowi mieć jakie namiętności, to tę w głębi serca ukrywałem, o polowaniu marzyłem, przypominając sobie niedalekie w przeszłości czasy, kiedy nie będąc jeszcze do biura adscriptus sam uprawiałem ten sport szlachetny.

Czy może dlatego, że podobno prawdą jest, jak twierdzą, że myśliwi się poczują, czy też z powodu, że radzca był ze mnie zadowolony, i polubił mię, przekreślając coraz mniej mych referatów, dość, że coraz częściej wciągał mnie do rozmowy, opowiadając to rozmaite swe przygody służbowe z długiej swej blizko 30-letniej służby, czy nareszcie i przygody myśliwskie.

Naturalnie, że tym ostatnim, skoro usłyszał me skromne wyznanie, że także do cechu św. Huberta należę, nie było już potem i końca. Nie spisałby na wołowej skórze jego „dubletów", nie zliczył sławnych strzelb, które posiadał, a na jeszcze lepsze facyendował. Ileż to nie miał każdego rodzaju psów myśliwskich, jamników, wyżłów nawet i ogarów, każdy zaś miał swoją własną historyę i nadzwyczajne zalety, tak, że jak zaręczał pod słowem zacny radzca, o tych psach samych można było tomy spisać.

Gdy wreszcie nadszedł czas polowania, uzyskałem daną obietnicę, że na pierwsze, na które pojedzie, weźmie mnie.

Zachęcony tem przyrzeczeniem, ze zdwojoną pilnością wziąłem się do pracy. Wkrótce większa połowa najstarszych z „braci śpiących" została z błogiego spokoju ruszona, tak, że aż radzca zaczął mnie upominać ulubionem swem twierdzeniem: „referat nie zając, nie ucieknie, wolno, wolno, bo ci za to nikt słowa dobrego nie da, tylko niepotrzebnie przydział mi zwiększysz do biura."

Jednego wreszcie poranku, było to w drugiej połowie października, radzca, przyszedłszy koło godziny 10-tej do biura, zaraz od drzwi zawołał: „no, jeżeli chcesz, panie Karolu — miał zwyczaj bowiem swych praktykantów po imieniu nazywać — to jutro jedziemy; dostałem zaproszenie, jak co roku, na dwudniowe polowanie do konwentu OO. w K... Niedaleko, zaledwie kilka stacyi koleją żelazną, a jeżeli jesteś, panie Karolu, prawdziwym myśliwym, myśliwym, jak ja to rozumiem, to znajdziesz tam wszystko, co duszę rzeczywistego Nemroda może zadowolić.

Nie posiadałem się z radości. Z całą wdzięcznością przyjąłem tak pożądane zaproszenie. Ułożyliśmy zaraz z radzcą, którym musimy jechać pociągiem, by zejść się z innymi zaproszonymi gośćmi na dworcu, wysłuchałem z namaszczeniem udzielonych mi łaskawie wskazówek co do robienia ładunków, ile sypać prochu, jakich użyć na proch, jakich na śrót przybitków i przyrzekłem solennie, że wezmę konieczną na tę wyprawę ilość ładunków, zatem najmniej sześćdziesiąt.

W tem już mamy wychodzić, gdy wchodzi woźny z prezydyum, podaje mi *circulandum*, i czytam ze zgrozą, że wobec nagłej słabości przeznaczonego na jutrzejszą sesyę mego kolegi, jako protokolanta, ja go mam zastąpić. Na grom ten z jasnego nieba *remedium* nie było, nawet sam poczciwy radzca, chociaż widocznie posmutniał, że straci uległego towarzysza i adjutanta, oświadczył: — panie Karolu, na to rady nie ma, awans twój przede drzwiami, sam naczelnik jutro przy sesyi prezyduje, trzeba zostać — przykro to, wierzę, bo królewska czekała cię zabawa, nie poradzi; to ci przynajmniej święcie obiecuję, że tak ci wszystko opowiem, jakbyś tam sam był.

Czy pociechą było dla mnie zamiast samemu brać udział w dwudniowem polowaniu, słuchać potem tylko opowiadania, nie wiem, ale przyznałem, że rady nie ma. Radzca mnie uściskał, pieczę nad biurem na te dwa dni zlecił, powiedział, które na wypadek nadejścia „kawałki" stanowczo do „braci śpiących" zamknąć i poszedł przygotować się do odjazdu wieczorem.

Jakżeż mi się strasznie nazajutrz ciągnęła ta nudna sesya. Myślą byłem tam, ciągle het, daleko — zdawało mi się, że słyszę głosy nagonki: pilnuj, nie daj, słyszę strzały i głos radzcy wołającego, aby zbierano pokotem przed nim leżącego zwierza. Raz po raz z tych miłych marzeń budził mnie nieprzyjemnie głos pana naczelnika i słowa: „ależ pan nic nie pisze, nic nie uważa na *contravota*, właśnie pan radzca N... zgłosił *seperatum*, jakżeż to pan potem napisze, jeżeli pan nie uważa."

Wszystko na świecie się kończy, więc nareszcie i ta nudna sesya się skończyła. Smutno spędziłem dzień drugi, zajęty pracą, podnoszącą ducha, mianowicie pisaniem „prezentek" na aktach, zreferowanych na sesyi.

Wreszcie zawitał dzień powrotu radzcy. Dnia trzeciego po wyjeździe koło 11-tej przed południem wszedł radzca do biura.

Popatrzałem, wydał mi się jakby wyższy, wspanialszy, witałem już naprzód króla polowania.

— Panie Karolu, żałuj żeś nie był — przemówił radzca — królewskie polowanie, to rozumiem, takie dwa dni na jakiś czas wystarczy...

— Cóż pan radzca naturalnie królem?

— Wolno, wolno, — odparł — królem, jak królem, ale nieźle się popisałem, — opowiem ci wszystko, ale po porządku, wiesz, że jestem trochę systematyk, siądź... masz, zapal cygaro, a co? prawda? dobre? odleżałe? Cabanos! widzisz, przeor wie, że się znam, zawsze ma dla mnie osobno przygotowane, — no... a teraz słuchaj...

Otóż już tutaj u nas zaczęła się zabawa. Pociąg, jak ci mówiłem, odchodzi o 8½ wieczorem, pyszna godzina, bo na miejscu jesteś o 10-tej... W poczekalni na dworcu już zastałem byłego zarządzcę A... pensyonowanego kapitana U... obaj znakomici myśliwi — nieraz z nimi polowałem, zwłaszcza zarządzca, — nie wiem dlaczego tam ludzie coś do niego cierpieli, ot pewno jakieś bajki i tyle. Przy reorganizacyi kazali mu tam z czegoś się usprawiedliwiać, jakieś były donosy, ale oczywiście fałszywe, zarządzca sobie poradził, chociaż miał coś z górą dwadzieścia kilka lat służby, podziękował za wszystko, wziął dymisyę, ja tam bocianem nie jestem, ani w nikim nie siedzę, zresztą nie musiało być tak źle, kiedy dymisyę przyjęli, ze służby uwolnili, a on sobie dzisiaj pan! — ma ładne dwie kamieniczki, spokojnie sobie siedzi, doskonały kumpan, pierwszy tarokista, a myśliwy całą gębą! proszę siadać, co on zna za sekreta myśliwskie, powiadam ci jaką umie robić nalewkę! świat się kończy, o kosztowałem ja jej nieraz, powiadam ci po kilku kieliszkach, to dali Bóg nie wiesz, czy zając, czy słoń na ciebie idzie, znakomity myśliwy!

Kapitan — no, ten nie taki zabawny — trochę śledziennik, ale także przyjemny byłby, bo spokojny, słucha, nie przerywa, żeby nie te przeklęte wirginia, których sobie nigdy dobrać nie może i to wieczne wysiadanie na każdej stacyi za tem piwem...

No, ale nareszcie po przywitaniu siadamy do wagonów: „gotów! — fertig! — jazda!" Nie będę ci opowiadał naszych rozmów podczas podróży, chociaż tam młody myśliwy mógł niejedno ciekawe usłyszeć, nauczyć się, zwłaszcza od zarządzcy, a ta jego nalewka! — a miał ze sobą ogromną manierkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ogromny wzrost Berlina po wojnie francuskiej był punktem przyciągającym Polaków, i to tak dalece, że już w r. 1875 stolica Niemiec Zjednoczonych liczyła 35.000 mieszkańców pochodzenia polskiego, z których $1/3$ odpada na ludność niemiecką z prowincyi polskich. Tysiące te, naliczone wówczas przez statystyków niemieckich, już dawno wsiąkły w obce społeczeństwa, nieznaczna zaś część, ci mianowicie, którzy zdołali dorobić się czegoś, nie tracąc przytem swej narodowości, dawno już powrócili do kraju.

W r. 1880, na podstawie spisu ludności, w Berlinie zamieszkiwało 164.500 mieszkańców z W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Szlązka; w r. 1885 obliczano, że w Berlinie zamieszkiwało 244.000 mieszkańców przybyłych z czterech prowincyi wschodnich monarchii pruskiej. Połowę stanowili Polacy, między którymi z krajów polskich, zostających pod rządem rosyjskim, naliczono 41.000.

Obecnie stolicę Hohenzollernów zamieszkiwać ma 60.000 Polaków.

„Z wyjątkiem może jednego Monachium wszystkie kolonie polskie w miastach niemieckich posiadają wspólną cechę — nieproporcyonalność, istniejącą pomiędzy liczebnym stosunkiem inteligencyi do ludności zarobkującej za pomocą pracy rąk, do proletaryatu. Fakt ten wynika stąd, że najprostsza ludność miejska z prowincyi polskich stanowi główny element napływowy.“ I dlatego właśnie wśród wychodźtwa polskiego w Berlinie najsilniej uwidocznia się klasa ludzi, którzy, stając po raz pierwszy na bruku berlińskim, nic więcej nie przynoszą z sobą, prócz silnych, muskularnych rąk i tęgich barów. Ale tacy robotnicy — taka tylko siła pociągowa zwierzęca potrzebną jest w Berlinie, bo, zdaniem Niemców, najmniejsze ma wymagania i pozwala się wyzyskiwać przy wszystkich robotach. „Przypływa więc tutaj (do Berlina) ten materyał ludzki, obdarzony niezmierną zdolnością poddawania się wszelkim prądom i wchłaniania wszelkich wpływów, złych czy dobrych: czysta to tablica, na której warunki życia mają dopiero napisać, czem ci ludzie będą: czy pożytecznymi obywatelami, czy szumowinami milionowej stolicy. Warunki te układają się w dwojakim kierunku: po pierwsze, wyciskają stempel germanizacyi na niezahartowanych i niezdolnych do oporu jednostkach i smagają nielitościwie — biczem strasznym — bo brakiem pracy.“

Charakterystyka ziomków naszych i warunków bytu ich w stolicy Niemiec jest przygnębiająca. „Tu podupadły szlachcic — dziś zbieracz ogłoszeń do obskurnego jakiegoś, straganiarskiego pisemka — ociera się o rzemieślnika polskiego, który dorobił się grosza na obczyźnie, choć przyszedł do Berlina bez butów; tam pozbawiony pracy robotnik prosi o pieniądze na powrót do kraju młodego panka, w którym poznał rodaka po pełnym rozmachu sposobie rozdawania pieniędzy. Słowo „Polak“ w Berlinie zawiera pozornie tyle pojęć sprzecznych, a jednak zgodnych z prawdą, że trudno z tych pojedynczych rysów złożyć jakiś typ ogólny. Zależy to zupełnie od miejsca i sfery towarzyskiej, czy słowo „Polak“ służyć ma za rekomendacyę, czy też wywołuje nieprzychylne uprzedzenie. W dzielnicach, zamieszkanych przez ludność robotniczą, papiery polskie stoją najniżej. Tam z leżącego w rynsztoku pijaka wyśmiewają się ulicznicy: wołające: „alter Pollake“; tam narodowość Polaka uważana jest za „minderwertige Nation“ — nie dlatego, żeby Polak miał gorzej pracować od innych, lecz dlatego, że łatwiej go oszukać i na dudka wystrychnąć.“

Na każdym kroku odczuwa się w Berlinie brak poczucia narodowości wśród Polaków i dlategoteż brak pracy i germanizacya dziesiątkują tam wychodźtwo polskie. Pierwszy tworzy całe szeregi wykolejonych, druga przetwarza w Niemców. Wobec faktu, że kraj nie dba o narodowe wychowanie emigrantów i wobec faktu, że kraj (Poznańskie i inne prowincye polskie) opuszczają niedorostki albo młodzieńcy zaledwie dwudziestoletni — masy germanizują się, bo z kraju nie przynoszą zasobów poczucia narodowego.

Autor, przyjmując cyfrę 60.000 Polaków, jacy zamieszkują Berlin, nie widzi w większości żadnej spójni, żadnej dążności do utrzymania swojego „ja“ polskiego. Większość zapomina czem była, nie wie czem jest. Język jej to dziwna mieszanina słów polskich i niemieckich; jej święto to dzień wypłaty, jej nabożeństwo — to możność wyspania się. Nie trafi do niej żadna odezwa jakiegoś polskiego towarzystwa, zresztą celu zachowania narodowości nie pojmuje. Większość żeni się z Niemkami — i tonie w potopie niemczyzny. Inni dostają się do stowarzyszeń robotniczych partyjnych, w szeregi „rothe Internationale“, która też germanizuje, choć w inny sposób.

Autor oblicza, że z pośród całej ludności polskiej, zamieszkującej Berlin, zaledwie 5.000 zrozumiało, że nie wolno poddawać się niemczyźnie, że należy organizować stowarzyszenia polskie w celu utrzymania na obczyźnie narodowości i w celu pracowania dla jej rozwoju. Jest więc jądro kolonii polskiej. „Tysiące nikną w cieniu, pochłaniane bez odgłosu w walce, bez oporu i bez śladu, przez tryby stołecznego miasta, które tysiąc po tysiącu przerabia na swą krew i nerwy i woła wciąż: Więcej! więcej!“

Korespondencye.

Wiedeń, 23 kwietnia.

(*y.*) Cały Wiedeń i cały parlament zajęty jest dziś kwestyą: „Czy Wolf dostał w twarz, czy też nie dostał?“ — Oto najnowsza kwestya sporna. Wyłoniła się ona zaś z następującego powodu: Onegdaj urządzili radykałowie niemieccy z obozu Wolfa i Schoenerera zgromadzenie w sali restauracyi „zum wilden Mann“ w dzielnicy Währing. Zebrali się w liczbie przeszło dwustu, a że byli w swojem kółku, przeto po swojemu zaczęli napadać na Kościół katolicki i na stronnictwo chrześcijańsko-socyalne. W sali jednak było dwudziestu kilku członków stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego, w ich liczbie radni miejscy Urban i Wesselsky. Gdy zatem poseł do Rady państwa Franko Stein, z frakcyi Schoenererowców, zaczął plugawymi wyrazami obrzucać Luegera i jego stronnictwo, zaprotestowali obecni w sali antysemici głośno przeciw tym obelgom.

Te protesty dały hasło do bójki. Schoenererowcy z kuflami i krzesłami rzucili się na stojących w kącie sali antysemitów, zaczęto się szamotać i ostatecznie antysemici widząc, że są w znacznej mniejszości, opuścili salę. Gdy część ich znajdowała się już za progiem lokalu, zetknął się z nimi oko w oko p. Wolf, udający się na to zgromadzenie. Zobaczywszy gromadę antysemitów, zawołał do nich Wolf pogardliwie: „Klerykalne draby“ (Clericale Buben), a wtedy antysemici rzucili się na niego. Okładano go kułakami i laskami, wytrącono mu cygarnicę z ust, a policzków otrzymał on co nie miara. Ostatecznie przybiegli mu na pomoc jego przyjaciele polityczni z sali, i drżącego na całem ciele odprowadzili do lokalu, gdzie pokrzepiwszy się nieco i wypiwszy kufel piwa, wstąpił na estradę i wypowiedział mowę, w której zapewniał uroczyście, że w twarz nie dostał (chociaż go o to nikt nie pytał).

Organ p. Wolfa *Ostdeutsche Rundschau* donosi wprawdzie o tej bijatyce, ale także solennie zapewnia, że p. Wolf nie dostał w twarz, przeciwnie — pismo to przedstawia sprawę tak, że antysemici z nożami napadli na Wolfa, on jednak nie pozwolił nikomu nawet ręką dotknąć siebie i sam uderzyć miał laską kilku przeciwników. Natomiast główny organ antysemitów ogłasza oświadczenie radzcy miejskiego Urbana, tej treści, że i on i wszyscy, którzy przypatrywali się tej scenie, stwierdzić mogą pod przysięgą, że p. Wolf nie raz, ale z dziesięć razy w twarz dostał. — Cała ta awantura świadczy, do jakiego stopnia doszło roznamiętnienie umysłów w obu wrogich sobie obozach niemieckich. Antysemici tutejsi dali sobie podobno hasło rozbijać odtąd wszystkie zgromadzenia, urządzane przez radykałów niemieckich.

Rada państwa.

(Telegramy „Przeglądu“).

Wiedeń 24 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu ukończono dyskusyę jeneralną nad nowelą obniżającą należytości za przeniesienie własności i rozpoczęto dyskusyę szczegółową. Przemawiali w tej sprawie pp. Götz, Wagner, Schachinger i Schücker. W dyskusyi szczegółowej nad paragrafem pierwszym zabrał głos minister skarbu p. Böhm-Bawerk i oświadczył się przeciwko wszelkim wnioskom, zmieniającym proponowany przez komisyę tekst przedłożenia. Minister oświadcza, że przyjęcie tych zmian mogłoby zakwestyonować dojście do skutku całej tej ustawy. W głosowaniu przyjęto dwa pierwsze paragrafy. Przy paragrafie 3-cim poseł Berks wyraził uznanie byłemu ministrowi skarbu Bilińskiemu, któremu zawdzięczać należy dojście do skutku tej ustawy, gdyż od niego wyszedł impuls do niej. Z kolei poseł Belsky przez całą godzinę przemawiał przeciw ustawie. Na tem obrady nad tą sprawą przerwano.

Następnie minister obrony krajowej Welsersheimb odpowiedział na szereg interpelacyi, między innemi na interpelacyę w sprawie pobicia czeskiego żołnierza Žilaka, który — jak wiadomo — odebrał sobie życie. Minister oświadczył, że zeznania Žilaka, złożone przed sądem dyscyplinarnym, jakoteż zeznania świadków naocznych stwierdzają, że oficer nie rozmyślnie, lecz przypadkowo zranił tego żołnierza. Tak samo orzekli świadkowie, że rana zadana Žilakowi przez oficera nie była ciężką i że Žilak w chwili popełnienia samobójstwa był już zupełnie wyleczony z tej rany. Žilaka, gdy znajdował się w szpitalu, odwiedzały rozmaite osoby cywilne. Obcował on wogóle z ludźmi należącymi do skrajnej opozycyi i dostarczał materyałów do artykułów nieprzychylnych dla armii. Po jego samobójstwie znaleziono u niego, jako jedyne wyjaśnienie czynu, właśnie taki artykuł w jednem z pism skrajnych. Dalsze śledztwo jeszcze jest w toku, a władze wojskowe we własnym interesie pragną wystąpić przeciw nadużyciom w armii i gotowe są przykładnie je ukarać.

Z kolei odpowiedział jeszcze na kilka interpelacyi minister skarbu, poczem wystosowano szereg zapytań do prezydenta. Między innymi opat Treuinfels, wśród silnej wrzawy i przerywań ze strony schoenererowców, skarżył się, że przedrukowywanie skonfiskowanych artykułów w formie powtórzenia z protokołu stenograficznego interpelacyi wniesionych w Izbie, służy tylko do obchodzenia ustawy. Mówca zapytuje prezydenta, jak długo zamierza jeszcze tolerować niesłychane obelgi na Kościół katolicki, jakich dopuszczają się schoenererowcy. W sali powstaje wielka wrzawa. P. Franko Stein (schoenererowiec) zgłasza się również z zapytaniem do prezydenta i zaczyna mówić o przyjęciu przez arcyks. Franciszka Ferdynanda protektoratu nad katolickiem stowarzyszeniem szkolnem, wskazuje na wydalanie Jezuitów z Portugalii i atakuje gwałtownie księży. Wiceprezydent Zaczek przywołuje mówcę kilkakrotnie do porządku, wreszcie odbiera mu głos, co wywołuje znowu gwałtowne protesty schoenererowców. Przemawiają jeszcze pp. Hoffer, Berger i po raz drugi Franko Stein, który protestuje przeciwko nazywaniu go patryotą (austryackim). W końcu prezydent zamyka posiedzenie. Następne odbędzie się dziś.

Wiedeń 24 kwietnia. W komisyi rolniczej Rady państwa zdał wczoraj p. Povsze referat o przedłożeniu rządowem w sprawie utworzenia korporacyj zawodowych rolniczych.

Niemiecka partya postępowa poleciła swemu prezydyum, ażeby na dzisiejszej konferencyi przywódców starało się o to, by Izba załatwiła ważne przedłożenia ekonomiczne i ażeby w każdym razie przynajmniej budżet uchwalono w drodze parlamentarnej.

Wiedeń 24 kwietnia. *Deutschnationale Correspondenz* donosi, że niemiecka partya ludowa uchwaliła polecić swemu przewodniczącemu, aby na dzisiejszej konferencyi przywódców parlamentarnych oświadczył się za przyśpieszeniem prac parlamentu i zaproponował innym stronnictwom, by ograniczono ile możności kwestye regulaminowe i z zachowaniem tonu parlamentarnego, umieszczano je zawsze na końcu posiedzenia w celu uzyskania czasu na rozprawy rzeczowe.

Wiedeń 24 kwietnia. Prezydent ministrów Koerber odbył wczoraj z przywódzcami lewicy konferencyę w sprawie dalszego programu prac parlamentarnych. Projekt ustawy kanałowej wnieść ma rząd w Izbie w piątek tj. po powrocie dra Koerbera. Prezes gabinetu, który będzie jutro w Peszcie na uroczystości wręczenia biretu kardynalskiego ks. Puzynie i ks. Skrbensky'emu, poprosi Cesarza o upoważnienie do wniesienia tego przedłożenia.

Co i o czem piszą.

Z powodu ostatnich defraudacyi w Banku ormiańskim i dociekając ich przyczyny, *Kuryer Lwowski* konstatuje, że społeczeństwo galicyjskie prowadzi deprawującą i zabójczą politykę ekonomiczną nieoglądania się na jutro, której podstawą jest robienie długów. *Kuryer Lwowski* pisze w tej materyi co następuje:

Robienie długów to jedyna ekonomia tysięcy rodzin na bruku lwowskim i gdzie indziej na prowincyi. Gospodarstwem kredytowem to nie jest, bo długi te przeważnie spożywczej są natury, a więc nieproduktywne, rosną bez nadziei i możności zapłaty, z życia robią piekło, każdą chwilę spokoju, a nawet sen w nocy odbierają, łamią charaktery, uczciwość i otwierają potem .. wrota kryminału..

Straszne życie takie, bez nadziei i bez jutra, w upojeniu tylko szukające zapomnienia, w szale śniadań kilkuguldenowych i dymu szynkowego, w orgiach nocnych. Straszne życie takie, gdzie nadzieja poprawy spoczywa tylko w loteryi liczbowej, w grze, w kopalniach nafty zawodnych i spekulacyach.

A jednak coraz więcej ludzi żyje w takich stosunkach, coraz mniej znajduje ratunek i od czasu do czasu jakaś większa figura zadziwi świat tem, że idzie do kryminału.

Jedni, nie z własnej winy popadają w nieszczęście. Mały dług na niezbędne potrzeby mnoży się później, jak posiew wilczych zębów i niszczy egzystencyę. Drudzy za wielkie wymagania stawiają do życia, a niemożność zaspokojenia pcha ich w objęcia zbrodni. Największa część atoli tylko dzięki przypadkowi, słabej woli dochodzi do katastrofy.

Śmiało i bez przesady powiedzieć można, że rozwielmożniony nie wiedzieć skąd system „śniadankowy“ całe rodziny niejednokrotnie do nędzy doprowadza. Kto bowiem z reguły wydaje przeszło guldena dziennie w handelku, ten z pewnością końca z końcem nie zwiąże przy końcu miesiąca; na opędzenie niezbędnych wydatków dopożyczyć do pensyi będzie zmuszony.

Albo kredyt wekslowy! Przyjdzie ni stąd ni zowąd człowiek lekkomyślny z grzeczną prośbą o poręką na wekslu. Nie podpisać, to się obrazi, a podpisawszy, można być w kilku wypadkach na dziesięć pewnym, że trzeba będzie zapłacić.

I cóż ma robić dajmy na to przeciętny urzędnik, sam ledwo koniec z końcem wiążący, gdy mu przyjdzie zapłacić tak „po przyjaźni“ trzysta, lub czterysta guldenów. Toż to przecież kompletna ruina — i bywali tacy, którzy podpisawszy kilka takich weksli, samobójczą śmiercią potem zginąć musieli.

A dalej karty i kobiety. W karty zgrywają się najpoważniejsi obywatele, ojcowie rodzin, a kobiety przecież głównie ks. Mardyrosiewicza do kryminału zaprowadziły.

A ten brak, ta gonitwa za pieniędzmi, prowadzi potem do machinacyj, z kodeksem karnym w sprzeczności stojących, a dla ratowania się, dla wytłómaczenia się przed własnem sumieniem pozostaje gra w loteryę, lub co na jedno wyjdzie, spekulacya hazardowna, kopanie nafty i t. p.

Z izby sądowej.

Poznań 15-go kwietnia.

(Proces o majorat.)

Rzadki proces o majorat rozegrał się w ostatnim czasie w mieście naszem w sądzie ziemiańskim. Proces ten w wysokim stopniu zainteresował nietylko szlachtę wielkopolską, ale i świat prawniczy. Powodem był Mieczysław hr. Kwilecki z Oporowa, a pozwanym Zbigniew hr. Węsierski-Kwilecki z Wróblewa; przedmiot sporny procesu stanowiło prawowite pochodzenie spadkobiercy majoratu czyli ordynacyi na Wróblewie. Oto streszczenie sprawy:

Zbigniew hr. Węsierski-Kwilecki, ordynat na Wróblewie, ożeniony z Izabelą hr. Bnińską, był przez długie lata bez potomka płci męskiej, gdyż jedyny jego syn zmarł przed 20-tu laty jako dziecko. Nagle rozeszła się przed 4-ma laty wieść, że w styczniu 1897 roku małżonka jego, licząca lat 50 i już od lat 16-tu nie obdarzona błogosławieństwem macierzyństwa, powiła syna, spadkobiercę tyle upragnionego przez oboje małżonków. Narodziny te wywołały dużo sensacyi i dużo plotek, rozeszła się nawet wkrótce uwłaczająca w wysokim stopniu dla rodziców dziecka pogłoska, że hr. Izabela wogóle nie powiła syna, że jej rzekomo błogosławiony stan był tylko zręcznie udawany i że wreszcie owo narodzone dziecko jest obcem zupełnie dzieckiem, czyli „podrzutkiem“, w tym celu przez ordynatów Kwileckich przybranem, aby majorat nie dostał się w przyszłości na mocy prawa w ręce uprawnionych agnatów rodu. Pochop do tego rodzaju plotek brano z wieku dość spóźnionego matki dziecka, dalej także z okoliczności, że połóg odbyła w Berlinie, nie w domu na wsi, że akuszerka, przywołana aż z Warszawy, zniknęła bez śladu, że przy łożu położnicy nie było żadnego lekarza, że wreszcie rodzice spadkobiercy ordynacyi wzbraniali się udzielić jakichkolwiek wyjaśnień, co do wątpliwych jego narodzin, krewnym uprawnionym do majoratu, z którymi żyją w stosunkach naprężonych.

W takim stanie rzeczy najstarszy agnat pobocznej linii hr. Kwileckich, na którą majorat spaśćby musiał, uznał za właściwe rozpocząć w interesie swej rodziny dochodzenie co do krążących pogłosek o „podrzutku“ i domagał się od hr. Zbigniewa, iżby podał świadków, którzy byli przy narodzinach dziecka obecni.

Wobec takich okoliczności hr. Zbigniew wdrożył imieniem syna skargę sądową o uznanie jego prawowitości i następstwa w dziedziczeniu majoratu, poczem senior pobocznej linii wręcz już zaprzeczył, jakoby hr. Zbigniewostwo istotnie syna własnego przed sądem przedstawić mogli i że to ich rzekome dziecko jest poprostu podsuniętem przez trzecią osobę.

Otóż rozprawa dowodowa przed poznańskim sądem ziemiańskim wykazała stanowczo, że hr. Izabela była istotnie w r. 1896 w błogosławionym stanie, i że nawet narodziny dziecka w styczniu 1897 r. były nieco przedwczesne. Telegraficznie przywołany z Poznania słynny akuszer, dr. Heljodor Święcicki, był u jej łoża w Berlinie w dniu połogu. Akuszerki nie mógł sąd przesłuchać, gdyż umarła przed dwoma laty. Liczni świadkowie i rzeczoznawcy zeznali na korzyść hr. Zbigniewa, wogóle dowód prawowitości 4-letniego dzisiaj spadkobiercy ordynacyi na Wróblewie powiódł się w zupełności. Sąd też uznał młodziutkiego hr. Kwileckiego za legalnego spadkobiercę ordynacyi na Wróblewie.

* * *

Wiedeń 24 kwietnia.

(Proces Hilsnera przed Najwyższym Trybunałem).

Wczoraj odbyła się przed Najwyższym Trybunałem rozprawa kasacyjna w procesie Leopolda Hilsnera. Jak wiadomo, sąd przysięgłych w Pisku skazał Hilsnera d. 14 listopada r. z. na śmierć przez powieszenie, a przeciw temu wyrokowi wniósł obrońca dr. Auredniczek zażalenie nieważności, żądając kasacyi wyroku. Obrońca oparł się głównie o to, że sąd w Pisku nie chciał zasięgnąć opinii fakultetu medycznego co do siły wzroku głównego świadka Peschaka, a poprzestał na tem, że pewien adjunkt sądowy sam przeprowadził próbę wzroku tego świadka. Dr. Aurednicsek podnosi, że wobec ważności zeznań Peschaka, należy stwierdzić po nad wszelką wątpliwość, czy mógł on wówczas w lesie rozpoznać osobę z tak wielkiego oddalenia, w jakiem się znajdował — a przytacza obrońca w tej mierze jako argument przeciwny instrukcyę co do używania broni palnej w armii, w której powiedziano, że w odległości 600 kroków postać żołnierza, stojącego w szeregu, zupełnie niemal ginie, i tylko w nadzwyczajnie korzystnych warunkach można jako tako poznać, że to żołnierz.

Prócz tego podnosi obrona zażalenie, że trybunał nie zasięgnął opinii wydziału lekarskiego dla skonstatowania, czy Hilsner mógł popełnić morderstwo na tle seksualnem. Jest to rzecz nader ważna, gdyż wedle słów zażalenia, innej pobudki już wcale wyobrazić sobie nie można; gdyby zatem ową pobudkę lekarze wykluczyli, to wina Hilsnera byłaby nieprawdopodobna.

Nadto podniesiono jako powód nieważności wyroku, że trybunał w Pisku nie sprawdził, czy rana na zwłokach nie pochodziła od noża rzeźniczego i była zadana przez wprawnego rzeźnika — oraz że trybunał nie zarządził ekshumacyi szkieletu rzekomo zamordowanej Klimówny. Motywa te poparł obrońca jeszcze ustnymi wywodami, poczem zabrał głos zastępca generalnego prokuratora radzca dworu Lorenz i usiłował wykazać, że w żadnym z pomienionych punktów nie naruszono ustawy, zaczem zażalenie nieważności należy uznać za nieuzasadnione i odrzucić.

Po krótkiej replice obrońcy zamknięto posiedzenie. Wyrok dziś będzie ogłoszony.

Mały fejleton.

Torreador.

(Obrazek hiszpański).

...Dość już było tego prześladowania miłosnego. Trwało już zbyt długo. Miss Laura straciła całą cierpliwość.

Nie miała chęci stać się przedmiotem plotek całego Madrytu. Dość tego. Nie może przecież doprowadzić do tego, aby zaczęto pokazywać ją sobie na ulicy palcami, aby stare i młode Hiszpanki na jej widok kiwały głowami i szeptały: „Patrzcie, to ta, dla której sławny Ramon o mało nie zwaryuje!“

Cóż to zresztą za wielki człowiek, ten Ramon! Prawda, że sławny torreador, ale przecież pokazuje się w cyrku za pieniądze, jak pierwszy lepszy błazen.

Wprawdzie nie jest klownem, nie bawi publiczności kozłami i błaznowaniem. O nie! Ramon codziennie stawia na kartę własne życie i dostarcza widzom niezwykłego wzruszenia! Jest takim aktorem, który wykonywa codziennie tę samą rolę, nie wymawiając ani jednego słowa, lecz za to naraża się co chwila na okropną śmierć w oczach całego tłumu. Codziennie odgrywa tragiczny duet z rozwścieczonym bykiem, dając w walce ze strasznym zwierzem dowody prawdziwej odwagi i niezwykłej zręczności szermierskiej.

W takiej właśnie chwili po raz pierwszy miss Laura zobaczyła Ramona. Wobec niebezpieczeństwa był zupełnie spokojny, na pięknej jego twarzy igrał uśmiech niedbały. Na arenie byli także inni torreadorzy, być może nie mniej zręczni od niego, lecz postacie ich były zbyt pospolite i gminne; robili wrażenie silnych zwierząt.

Ramon — zupełnie co innego! Zręczny, elegancki, wstępował na arenę z godnością, jak światowiec, wchodzący do arystokratycznego salonu.

Wieści wskazywały na niego, jako na bohatera niezliczonych przygód romantycznych. O pochodzeniu jego opowiadano sobie nadzwyczajne legendy. Mówiono, że jest potomkiem starożytnego, magnackiego rodu, że kilka lat temu zniknął z domu rodzicielskiego, pędził życie pełne przygód za Oceanem i znowu zjawił się w Hiszpanii, aby debiutować w cyrku królewskim w Madrycie. Wkrótce cieszył się niebywałem powodzeniem.

Takim człowiekiem pozwoliła sobie zająć się miss Laura... Zajęcie to nie miało nic wspólnego z uczuciem, jakie zwykle wśród dam budzi jakiś ufryzowany tenor, lub inny tego rodzaju bohater. Po prostu podobał się jej piękny, pełen odwagi mężczyzna.

Córka milionera amerykańskiego, dla którego każdy kaprys miss Laury był rozkazem i prawem, od dziecka przyzwyczaiła się pozwalać sobie na wszystko i ulegać własnym zachciankom, ale zawsze w granicach przyzwoitości.

Gdy zobaczyła Ramona, stojącego pośród areny i depczącego nogą cielsko zabitego byka, wpadła w zachwyt niezwykły i, nie zastanawiając się, rzuciła pod nogi zwycięzcy bukiet, trzymany w ręku. Na nieszczęście, w tej samej rączce trzymała elegancki notesik, który przez prędkość rzuciła razem z kwiatami.

Torreador miał pewne prawo uważać taką przesyłkę za rodzaj zaproszenia, tembardziej, że w kieszonce notesika znajdowało się kilka biletów wizytowych z nazwiskiem miss Laury Dobson.

Zasięgnąwszy potrzebnych wiadomości, Ramon uważał za stosowne odnieść właścicielce znaleziony przedmiot. Nie próbował nawet widzieć się z nią, zostawił tylko własny bilet wizytowy.

Lecz wkrótce przypadek zrządził, że pewnego razu w ogrodzie miejskim usłyszał, jak ktoś nazwał po imieniu miss Laurę. Bezwiednie obejrzał się i został uderzony jej niezwykłą urodą. To jedno spojrzenie wystarczyło, zakochał się w młodej miss do szaleństwa.

Namiętność jego wzrastała z każdym dniem.

Po dwadzieścia razy na dobę przechodził pod oknem domu, w którym mieszkała miss Laura, pragnąc zobaczyć ją chociaż na chwilę. Nie zastanawiał się, że tym sposobem kompromituje ukochaną kobietę.

Pewnego razu udało mu się upilnować ją na schodach domu, gdy wychodziła na miasto z towarzyszką. Z bijącem sercem zbliżył się i przemówił nieśmiało.

Młoda amerykanka, po chwili wahania zdecydowała się zakończyć całą historyę. Powiedziała mu stanowczo, aby zaprzestał niepokoić ją i prześladować swą osobą. Wzruszona i oburzona, miss Laura cała drżała. Jak śmie ten cyrkowiec liczyć na jej wzajemność! Grubo omylił się, biorąc jej chwilowy zapał i zachwyt za uczucie poważniejsze. Aby tem łatwiej dopiąć zamierzonego celu, dała mu do zrozumienia, że przecież sam powinien to rozumieć, że jego miłość może być dla niej tylko zniewagą...

Przerwał jej łagodnie i pokornie.

— Wszystko to przewidywałem, pani, — rzekł poprostu. — Rozumieć to, było już dla mnie męką, lecz słyszeć to samo z ust twych — to śmierć prawdziwa.

Spojrzała mimowoli i w oczach jego ujrzała łzy. On nie dodał już ani słowa, złożył głęboki ukłon i oddalił się.

Nazajutrz miss Laura, siedząc na zwykłem miejscu w cyrku, oczekiwała z niecierpliwością ukazania się torreadora Ramona. Nagle spostrzegła zbliżającą się starą kobietę z bukietem w ręku.

— Kwiaty dla pani — odezwała się hiszpanka.

— Dla mnie? — zapytała zdziwiona miss Laura. Chciała już odmówić przyjęcia, lecz jakiś głos wewnętrzny szepnął jej, aby tego nie robiła.

Przyjęła bukiet. Pomiędzy kwiatami spostrzegła mały zwitek papieru. Po chwili wahania rozwinęła kartkę i przeczytała:

„Pani! Postaraj się znaleść w swojem towarzystwie człowieka, któryby odważył się na to, co ja zrobię za chwilę. *Ramon*“.

Co on zamierza zrobić? Miss Laura pobladła ze wzruszenia. Z pewnością wymyślił jakiś niezwykły epizod podczas walki z bykiem; zręczność jego jednak nie pozwoli ani na chwilę wątpić w pomyślny wynik walki. Zresztą, za chwilę wszystko się wyjaśni.

Po upływie kwadransa na arenę wypadł byk, umyślnie poprzednio zraniony. Zwierz rozwścieczony bólem i widokiem własnej krwi, ryczał przeraźliwie, ryjąc kopytami piasek areny.

Za chwilę ukazał się torreador. Widzowie powstrzymali oddech.

Ramon, występujący zwykle w wspaniałym, błyszczącym kostyumie, tego dnia był cały ubrany czarno. Nawet u rękojeści szpady powiewała czarna szarfa. Po kim ta żałoba?

Zbliżał się do przeciwnika powoli, bez cienia obawy, bez śladu wahania. Byk, jakby zdumiony odwagą człowieka, zatrzymał się i patrzał nań czerwonemi ślepiami. Po chwili spuścił olbrzymi łeb, aby przebić rogami stojącego nieruchomo torreadora.

Nagle Ramon chwycił szpadę w obie ręce, oparł o kolano, złamał na dwie części i kawałki rzucił na piasek. Skrzyżował ręce na piersiach i, stojąc na środku areny, czekał...

Okrzyk zdumienia rozległ się z kilku tysięcy piersi, lecz po chwili przeszedł w krzyki przerażenia.

Byk rzucił się na przeciwnika... Czarno ubrany człowiek zawisł na rogach rozjuszonego zwierza... Strumień krwi zbroczył piasek areny...

...Gdy miss Laura odzyskała przytomność, pierwsze jej pytanie było:

— Zabity?

— Nie — brzmiała odpowiedź. — Żyje, lecz ciężko ranny.

Tracąc zmysły z radości, dumna miss, nie zważając na żadne przesądy, w tej chwili pobiegła do mieszkania tego „cyrkowca“, któremu przed krwawym wypadkiem sama zadała cios okropny.

Pielęgnowała go z zaparciem przez kilka tygodni, dopóki nie wyzdrowiał...

Niestety, nie skończyło się to idyllą, której zapewne spodziewały się piękne czytelniczki.

Miss Laura opuściła Madryt. Podobno wyszła za jakiegoś księcia europejskiego i mieszka w Paryżu. Ramon zaś występuje, jak dawniej, w cyrku królewskim w Madrycie, na tej samej arenie, na której szukał śmierci dobrowolnie. Zdaje się, że doczeka się jej niedługo. Od czasu wypadku coraz częstsze krwotoki podkopywały silny jego organizm i zapewne sprowadzą mu śmierć upragnioną, jeżeli przedtem jeszcze nie zginie na rogach innego, szczęśliwszego przeciwnika.

Głupi cyrkowiec!...

KRONIKA.

Lwów 24 kwietnia.

Zmiana własności. Dobra Trojany i Zielone w powiecie tłumackim, które należały dawniej do p. Jahna z Tłumacza, a następnie do ś. p. Drzewieckiego, przeszły na własność p. Wiktora Słoneckiego i jego małżonki.

P. Ludwik Heller, b. dyrektor teatru skarbkowskiego, napisał jednoaktówkę pod tyt.: „Kwiatek zafantowany“ i przeznaczył ją dla Towarzystwa „Miłośników sceny“ we Lwowie. Miłośnicy już niebawem odegrają ten utwór.

Gimnazyum w Śniatynie. Wiadomość, jakoby tworzące się w Śniatynie gimnazyum miało posługiwać się niemieckim językiem wykładowym, okazuje się mylną, bowiem będzie tam polski język wykładowy. Utworzeniem tego gimnazyum zajmuje się osobny komitet z ks. Janem Fischerem, miejscowym proboszczem na czele. Komitet ten rozpisał właśnie konkurs na posadę kierownika i jednego profesora do prowadzenia klasy pierwszej od 1-go września br. Płace ich wynosić będą po 2000 K., a kierownik otrzyma nadto pomieszkanie, opał i ogród. Termin podań upływa z dniem 25 maja.

Święto drzew w Tarnowie. Jak było zapowiedziane, odbyła się w sobotę staraniem tarnowskiego Towarzystwa ogrodniczego uroczystość święcenia i sadzenia drzewek owocowych na drodze, prowadzącej do fabryki dachówek ks. Sanguszki „Konstancya“. Wczesnym rankiem, o godzinie $1/2$8 ks. infułat Walczyński odprawił nabożeństwo, poczem przed kościółkiem św. Trójcy na Terlikówce poświęcono drzewka. Przy dźwiękach muzyki strażackiej ruszył następnie pochód na miejsce sadzenia drzewek. Pierwsze drzewko posadził ks. infułat Walczyński, a następnie wobec licznie zgromadzonej młodzieży szkolnej przemówił członek wydziału Towarzystwa ogrodniczego dr. Gałecki. Zaznaczył, że chwila sadzenia tych drzewek jest chwilą świętą dla każdego syna tej ziemi, a każde naruszenie tych drzewek jest świętokradztwem, gdyż to drzewa poświęcone. Zwrócił następnie uwagę na Czechy, gdzie przy każdej drodze są szlachetne drzewa, których owoce stanowią tak wielki dochód, że Czesi przez nie opłacają utrzymanie dróg. Następnie zasadzili drzewka zaproszeni goście, młodzież szkolna tarnowska i włościanie z Zawady i Poręby.

„Ta trzecia“ Sienkiewicza zostanie z powodu wielkiego powodzenia powtórzoną na ogólne żądanie przez Teatr miłośników sceny dnia 27 b. m., t. j. w niedzielę w sali „Sokoła“. Bilety do naby-

cia w droguery Langa & Pilarskiego ul. Akademicka l. 3 i w cukierni Bienieckiego ul. Karola Ludwika.

Gmachy sądowe we Lwowie i w kraju. W mieście naszem bawi radzca sekcyjny ministerstwa sprawiedliwości dr. Albert Roesch w sprawie dalszej budowy gmachów sądowych. W podróży swej inspekcyjnej po Galicyi zwiedzał on w ubiegłym tygodniu w towarzystwie ministeryalnego radzcy budownictwa Skowrona, jako szefa departamentu dla tych budowli — wszystkie miejscowości wymagające, z powodu nieraz wprost niemożliwego umieszczenia sądów, natychmiastowego wzniesienia budowy odpowiednich gmachów. Przeniesienie ze Lwowa zakładu karnego (Brygidek) zostało postanowione na korzyść Drohobycza, budowa zacznie się już w przyszłym roku, a sprawa ta — będąca dla nas tak ważną ze względu na zamierzone przeniesienie sądu karnego na ul. Kaźmierzowską, a cywilnego z gmachu pojezuickiego do rozszerzyć się mającego pałacu sprawiedliwości — zostanie ostatecznie załatwioną w myśl żądań miasta.

Równocześnie postanowiono nowe budowle w Krakowie, Czerniowcach, Podgórzu, Mielcu, Białej, Muszynie i Bóbrce, a już wybudowano nowe gmachy w przeszło dwudziestu miejscowościach kosztem około dwóch milionów koron,—wszędzie według najnowszych wymagań techniki, tak, że pod względem przeznaczenia, mają i kulturalne znaczenie dla naszych ubogich miast.

Oświadczenie. Otrzymujemy następujące pismo: „Z powodu szerzącej się pogłoski, jakobym rozporządzał ogromnym familijnym czy jakimś innym kapitałem, oświadczam, że to pogłoska z gruntu fałszywa, zatem i konieczne zawody wielu, choćby bardzo potrzebujących osób.

Oskarżycielom i oszczercom — z serca przebaczam, a modlę się, aby im Bóg także przebaczył.

O. Letus Olszewski".

Józef hr. Potocki bawi obecnie w Paryżu, w powrocie z wyprawy myśliwskiej do Afryki środkowej. Jednem z trofeów myśliwskich, przywiezionem z dalekiej wyprawy, jest młode lwiątko; *Le Petit Journal* poświęcił mu cały artykuł, który wraz z młodym lwem mieszkańców hotelu „Bristol" wywołuje łatwo zrozumiałą sensacyę.

Dom asbestowy hr. Waldersego, który zgorzał w Pekinie, zajmował przestrzeń 210 metrów kwadratowych, o froncie długości 17, a wysoki od ziemi około 5 metrów. Zawierał siedm obszernych pokoi, trzy z przodu, cztery z tyłu. Z bramy wchodziło się do pokoju recepcyjnego, do którego z prawej strony przylegał pokój ordynansa, a z lewej wielki pokój z biurem marszałka. Za tym pokojem sypialnia jego i pokój kąpielowy, trzeci dwa pokoje dla przybocznego adjutanta. Dom zbudowany był na sposób pruskiego muru, tylko, że ramy drewniane zapełnione były płytami z łupku asbestowego wielkości metra kwadratowego. Dach był także pokryty łupkiem asbestowym. Łupek ten miał być absolutnie bezpieczny od ognia i wody, tudzież od mrozu i upału, ponieważ ściany zewnętrzne składały się z podwójnej warstwy płyt, a pomiędzy warstwami próżnia powietrzna. Dom ten wybudowany był według pomysłu cesarza Wilhelma, który darował hr. Waldersemu ten budynek, aby marszałek czuł się w nim bezpiecznie. A jednak dom asbestowy się spalił. Czyżby prawa chemii nic nie znaczyły w Chinach? Czy też może ten dom nie był z asbestu, bo to materyał drogi, lecz tylko z jakiegoś pruskiego fabrykatu, a wiadomości o asbeście kolportowano rozmyślnie, aby w błąd wprowadzony i przekonany o autentyczności asbestu w asbestowym domu hr. Waldersego Chińczyk powiedział sobie w krytycznej chwili: „et, asbest się nie zapali, nie będę próbował go podpalić, — szkoda zapałki..."

Sensacyjna zbrodnia. Znana „piękność" paryska, p. Ludwika Kolb, licząca lat 39, dawniej śpiewaczka operetkowa, która jednak uzbierawszy 800.000 fr. majątku, usunęła się ze sceny, dnia 13 b. m. została w dziwny i straszny sposób zamordowaną. Pani Kolb zajmowała eleganckie ośmiopokojowe mieszkanie przy ul. Henri-Martin l. 29. Służbę jej stanowiła garderobiana Magdalena Foureade i mechanik automobilu Albert. Albert sypiał tylko u pani Kolb, a garderobiana po ukończeniu swych obowiązków, udawała się do swego pokoju na 7 piętrze, tak, że jej pani znajdowała się sama w ogromnem pomieszkaniu. Z tego skorzystał zbrodniarz. W jaki jednak sposób dostał się do jej apartamentów, na razie jeszcze nie stwierdzono. W dniu 13 b. m. ostatnim gościem u pani Kolb był lekarz paryski dr. Schulsberger. Po jego odejściu zamknęła ona wszystkie wyjścia i położyła się spać. Około 3-ciej w nocy obudził ją podejrzany szelest. Machinalnie odkręciła lampę elektryczną i wtedy zobaczyła na dwa kroki przed sobą jakiegoś zamaskowanego człowieka. Zaczął on jej zadawać silne razy workiem, napełnionym piaskiem. Gdy worek wskutek silnych uderzeń pękł, rozbił zbrodniarz karafkę na głowie nieszczęśliwej pani Kolb, zakrwawiając ją strasznie. To jednak strasznemu człowiekowi jeszcze nie wystarczało. Chwycił za czerepy szklanki i zaczął nimi ciąć twarz i piersi nieszczęśliwej ofiary. Ostatecznie jednak nieszczęśliwa padła bez śladu życia koło swego łóżka. Ale sąsiedzi usłyszeli krzyki pani Kolb. Jeden z nich, p. Darel, pobiegł po dozorcę i obaj chcieli się dostać przez drzwi do jej pomieszkania. Drzwi jednak były zamknięte. Pobiegli po policyę. Na szczęście znalazła się szybko, a gdy wróciła, zbudzona już była też garderobiana, która ich puściła przez drzwi dla służby. Policyanci weszli z rewolwerami w ręku. Zbrodniarz siedział w fotelu i opatrywał sobie rękę, skaleczoną czerepem szklanki. Bez oporu i bez słowa dał się aresztować. Przywołani lekarze mogli tylko stwierdzić śmierć pani Kolb. Zbrodniarz jest Anglikiem, a nazywa się Smith; nie chce on wyznać, w jaki sposób dostał się do pomieszkania.

Cukierki z „federweisem". Właściciel fabryki cukrów i tortów Pischinger stawał w Wiedniu przed sądem, oskarżony o fałszowanie szkodliwemi domieszkami cukierków słodowych, znanych w handlu pod nazwą „Malz-Bonbons". Przy rozprawie wykazano, że fabrykant dodawał do tych cukierków zamiast słodu, co stanowiło ich istotę, „federweis". Pischingera skazano na 100 koron grzywny. Prokurator wniósł zażalenie nieważności z powodu niskiego wymiaru kary.

Pytanie nierozstrzygnięte. Czemu się tak dzieje, że każda smaczna potrawa jest niezdrową? Gdy człowiek wpadnie w chorobę żołądka, a sprowadzi się lekarza, dowie się natychmiast, że jeśli tylko pragnie odzyskać zdrowie, musi zaniechać wszelkiego mięsa. Nie wolno pić zaś ani wina, ani piwa, ani kawy, ani herbaty, ani nic, co dotychczas było smacznem. Potrawy te zaś, które zalecają jako szczególnie strawne i higieniczne, nie mają ani barwy, ani smaku żadnego. — Wszystkie miłe mu dotychczas dania usunięte być muszą z jadłospisu; to zaś, które zalecają jako szczególnie strawne i higieniczne, przypaść by mogło do gustu temu chyba, kogo natura pozbawiła wszelkiego smaku i węchu. Zupa naprzykład, wyglądająca zupełnie tak, jak gdyby ciepłą wodę z lekka zaprawiono tłuszczem, ma być, wedle słów doktora, szczególnie pożywną i lekkostrawną; jeżeli zaś podadzą sos czy polewkę, którąby z gustem spożył każdy człowiek obdarzony charakterem i wolą, dowiaduje się, że to właśnie najniezdrowsze dla żołądka. — O ile można wymiarkować, to suchy czarny chleb, wygotowana baranina, owsianka lub sago, albo inne podobne papki i potrawki, to jedyne higieniczne pożywienie dla człowieka pragnącego przekroczyć trzydziesty piąty rok życia. Z napojów zaś woda przegotowana, sterylizowane mleko, serwatka, jęczmienna kasza, rosół z krajanej wołowiny, albo inny jaki napitek także bez smaku lub z obrzydliwym smakiem, nadaje się najlepiej dla pokrzepienia dbałego o zdrowie swe człeka. Takie to pochłaniając potrawy i napoje, zdoła człowiek dożyć starszego wieku, inaczej, biada mu! zginie przedwczesną śmiercią za to, iż dogadzał podniebieniu.

Przypuśćmy, iż naprawdę wszystkie rzeczy smaczne są niezdrowe, pozwólmy sobie zapytać, czemu one są niezdrowe? Czy jesteśmy stworzeni z tak przewrotnym gustem, iż łakniemy tylko trucizn? To być może prawdą dla Francuzów, którzy podobno uważają za niezdrowe to, co jest moralne, lubują się zaś w niemoralnościach; ale przecież większość ludzi, to nie Francuzi, lecz zwykli sobie śmiertelnicy i kobiety. — Naszem zdaniem, jest to zupełna nieprawda, żeby jadło smaczne miało być zawsze niezdrowe. Ci, którzy jedli w miarę najsmaczniejsze rzeczy w świecie, żyją tak samo długo, jak ci, co się żywili kleikiem i grzankami, popijając to dystylowaną wodą; przy śmierci zaś przyjemnie wspomnieć, że człowiek najadł się i napił po Bożemu, póki żył.

Nie przeczymy, że zbytek wina, lub jakikolwiek bądź zbytek jest szkodliwy; zgadzamy się na to, że mrożona woda i tłusta wieprzowina z grochem mogą zaszkodzić osobom zajadającym i zapijającym to z upodobaniem; nigdy jednak nie uwierzymy, by smaczny kawałek mięsa mógł zrobić pokój i kary z obiadu. Kwestyę tę rozwiązać można twierdząc, że pojęcia panów doktorów są fałszywe. Tak samo przecież postępujemy w dyskusyach filozoficznych czy teologicznych, gdy nam nie smakują opinie i wierzenia ojców naszych.

Licytacya. Jeden z klejnotów Francyi, a może jeden z najpiękniejszych zamków na świecie, został wystawiony na licytacyę. Majątek Valençay, obejmujący 8600 hektarów obszaru, rozciąga się na trzy departamenty i 27 gmin i posiada park, który ma 186 folwarków. Valençay leży o 15 kilometrów od stacyi kolejowej Selles, a 5 godzin drogi od Paryża. Dominik d'Étampes, którego żona z domu Montmorency-Bouteville, kazał w XVI wieku zamek rozebrać i wybudować nowy podług planu Filiberta de Lormes, budowniczego Tuileryi. Valençay sprzedano w 1745 roku za 400 tysięcy franków Ludwikowi de Chaumont, w 20 lat później nabył je de Villemorien za 620000 franków, a wreszcie w 1803 roku przeszło w posiadanie Talleyranda. Napoleon pragnął, żeby jego minister spraw zagranicznych posiadał wielki dwór i piękny zamek, w którymby mógł przyjmować ambasadorów, jak dawniej Choiseul w Chanteloup. Talleyrand był przerażony wysokością ceny za Valençay, ale Napoleon dał mu znaczną część sumy z swej kasy. Zamek powrócił do dawnej świetności i nabywca nagromadził w nim mnóstwo zabytków sztuki, które dopiero spadkobiercy już roztrwonili. Zamek przedstawia się imponująco z swemi dachami, kopułami i wieżyczkami. Jedno tylko ma skrzydło — drugie zastępuje przecudny taras obsadzony kwiatami i drzewami pomarańczowemi. Przed wejściem do pałacu przechodzi się przez dwa dziedzińce z ogrodami, a potem przez most. Z mostu wstępuje się na czteropiętrową wieżę zamkową, która przedstawia się wytwornie i majestatycznie zarazem. Zamek z kamiennemi fryzami i wysokiemi oknami jest arcydziełem renesansu. Wewnątrz mieści wielkie sale, bibliotekę, 25 komnat recepcyjnych, mnóstwo pokoi sypialnych i kaplicę. Także park, mający 80 hektarów obszaru, jest jednym z najpiękniejszych we Francyi.

Zmarli. W Gorlicach Tomasz Pawłowski, profesor gimnazyum jasielskiego, członek jasielskiej Rady powiatowej. We Lwowie Bogumił Bartl, syn nadinspektora kolei państwowych, lat 12.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu w naszej Redakcyi: Sabina Strzelecka z Chyrowa 3 K.; S. H. ze Lwowa (na intencyę wysłuchania próśb) 2 K. Dotychczas złożono u nas na ten cel: **6.276 K. 10 gr.**, czternaście dukatów, półimperyał, dziesięć marek w złocie i 4 pierścionki.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 5, w poł. +8 R. Bar. 764 Spada. Pochmurno.

Z Heinego.

Rozstali się, kochając,
Po sprzeczek całej dobie,
Rozstali się okrutnie,
Rozstali — na złość sobie.

I trawiąc się boleśnie,
Jak lampki w ciemnym grobie,
Po kilku latach — zdala
Pomarli — na złość sobie.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we środę po raz VI-ty „Życie na żart". We czwartek „Łucya z Lammermooru", opera w 4 aktach Donizetti'ego. W piątek „Rewolwer", komedya w 5 aktach Al. hr. Fredry, ojca. W sobotę po raz 1-szy „Młodość" (die Jugend), dramat w 3 aktach Maksa Halbe'go. W niedzielę o pół do 4 po południu „Wesoła dwójka", operetka w 3 aktach Ziehrera. W niedzielę o godz. 7-mej wieczór „Życie na żart". W poniedziałek „Młodość".

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 kwietnia.

(Z). Bank niemiecki obniżył dziś stopę procentową o $^1/_2$, z $4^1/_2$ na 4%. Od dwóch lat nie było w Niemczech tak niskiej (!) stopy, a przed rokiem wynosiła ona w tym czasie $5^1/_2\%$. Nie dziw przeto, że wiadomość o tej uchwale dyrekcyi Banku wywarła w całych Niemczech jaknajkorzystniejsze wrażenie, które udzielało się pośrednio także naszemu targowi. Sfery finansowe żywią nadzieję, że także bank angielski w najbliższym czasie zniży swoją stopę procentową z 4 na $3^1/_2\%$. Emisya nowej angielskiej pożyczki wojennej zapowiada się również pomyślnie, co także oddziaływa dobrze na targi pieniężne. Jak wiadomo, upoważnił już parlament angielski rząd do zaciągnięcia pożyczki w sumie 60 milionów funtów szterlingów, a emisya tej pożyczki odbędzie się już za kilka dni. Dawne pożyczki finansowała Anglia za pomocą emisyi 3% obligów t. zw. „khaki", tym razem jednak wypuści $2^3/_4\%$ konsole, a kurs ich subskrypcyjny oznaczono na $94^1/_2$ za 100. Połowę całej sumy objęły już z góry banki londyńskie, publiczność więc dostarczyć ma tylko drugiej połowy.

Za te nowe, jeszcze niewypuszczone obligi, płacono dziś na giełdzie londyńskiej 1% ponad kurs subskrypcyjny, co zdaje się dobrze wróżyć o tej nowej transakcyi. Mimo tych dodatnich wpływów targów zagranicznych ruch na naszej giełdzie pozostawiał wiele do życzenia. Jedynie w akcyach kredytowych i Staatsbahnach robiono znaczniejsze transakcye zarówno na rachunek tutejszych spekulantów, jak i na rachunek Berlina. Powodem zwyżki kursu kredytów była pogłoska o projekcie nowego wielkiego interesu finansowego z Turcyą, w którym ma wziąć udział także tutejszy Zakład kredytowy.

Z Berlina donoszą o bardzo znacznem podniesieniu się cen zboża. Cena pszenicy podskoczyła tam raptownie o 2 marki (na 1000 kilogramach). Powodem tej zwyżki są bardzo smutne doniesienia o stanie zasiewów w Niemczech. W wielu okolicach zanosi się na zupełny nieurodzaj pszenicy a hurtowni handlarze zboża w Niemczech starają się już zawczasu zapewnić sobie znaczne dostawy ziarna amerykańskiego.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 698·25, węgierskie 698·50, Anglobanki 282·75, Uniony 562·00, Bankvereiny 494·00, Länderbanki 423·75, Ludwiki 430·40, Czerniowieckie 546·00, Elbethale 515·50, Renta papierowa 98·40, srebrna 98·10, austryacka złota 117·75, austr. renta wal. kor. 97·50, węgierska złota 117·20, węgierska renta wal. kor. 92·85, dukat 11·32, 20-franków 19·08—, 20-markówka 23·52, ruble 2·54—.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków, 23 kwietnia.

Lepsze usposobienie, jakie zapanowało z końcem zeszłego tygodnia, utrzymuje się bez przerwy, jednakowoż ceny zboża nie doznały dalszej zwyżki, ponieważ odbyt na mąkę jak był, tak jest utrudniony i dlatego młyny miejscowe nie robią większych zakupów.

Płacono: pszenicę białą od 8·30 do 8·75 K., czerwoną 8·30 do 8·70 K., żółtą 8·30 do 8·70 K., żyto 7·30 do 7·75; jęczmień browarny 6·50 do 7·30 koron; na krupy 6·15 do 6·25 K.; owies 6·75 do 7·25 K., rzepak —·— do —·— K., konicz czerwony —·— do K., biały —·— do —·— K., kukurydza —·— K., — wszystko za 50 kilogramów

Bank gal. dla handlu i przemysłu.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe Izby handlowo-przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 16go kwietnia do 22go kwietnia bez opłaty akcyzowej. Waluta koronowa i za 50 kilogramów. Pszenica stara 7.90 do 8.05, żyto 6.75—6.90, jęczmień browarny 6.40—6.75, jęczmień pastewny 5.65—5.80, owies 6.65—7·05, hreczka 7·50—8·00, kukurudza zeszłoroczna 6.20—6.50, kukurudza nowa 5.00—0.00, proso 0.00—0.00, groch do gotowania 7·40—10.15, groch pastewny 6.65—6.90, soczewica 0.00—0.00, fasola 0.00—0.00, bobik 6.25 do 6.65, wyka 8.15—8·50, koniczyna czerwona 47.50 do 60.50, koniczyna biała 45.00—62.50, szwedzka od 60—95, tymotka 20—26, anyż rosyjski 19—20, anyż płaski 25—26, kminek 0—0, rzepak zimowy 13·90—14.40, rzepak letni 10.50—11.00, lnianka 10.50 do 10·75, nasienie lniane 13.25—13.65, nas. konopne 8.90—9.25, chmiel 30—45, nafta zwykła 16.00—17.00, salonowa 19.00—20.00, łój topiony 36.50 do 37.00, spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany bez opłaty podatku 37.20—37.50.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 24 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu Rady miejskiej oświadczył Lueger, że zażądał od Rady szkolnej krajowej autentycznego przedstawienia rzeczy w sprawie nauczyciela Seitza. Owóż stwierdzono, że już od półtora roku było przeciw Seitzowi w toku śledztwo dyscyplinarne, że on zachowywał się prowokacyjnie w Radzie szkolnej okręgowej przeciw Gregorigowi, że od lat 12 zajmują się nim władze szkolne we wszystkich instancyach i że publiczne występowanie jego stanowi grube przekroczenie służbowe. Dlatego też zastępca wyznania izraelickiego, dr. Kohn, postawił wniosek o odjęcie mu przez lat 5 dodatków służbowych. Zarówno ten wniosek, jakoteż propozycya Rady szkolnej okręgowej, aby oddalić Seitza ze służby, nie uzyskały większości, natomiast uchwalono zdegradować go na młodszego nauczyciela.

Paryż 24 kwietnia. Ajencya Havasa donosi, że kanclerz hr. Bülow prosił ambasadora francuskiego w Berlinie, aby wyraził imieniem cesarza Wilhelma wdzięczność prezydentowi Loubetowi i rządowi francuskiemu za współczucie objawione z powodu śmierci jenerała Schwarzhoffa. Cesarz był tym dowodem współczucia głęboko wzruszony. Przy tej sposobności hr. Bülow wyraził uznanie dla pułkownika francuskiego Marchanda, który odznaczył się przy gaszeniu pożaru w pałacu zimowym w Pekinie.

Wenecya 24 kwietnia. Dzienniki tutejsze donoszą, że prezes gabinetu francuskiego Waldeck-Rousseau, który obecnie bawi w Nizzy, zrobi wycieczkę także do Dalmacyi.

Ołomuniec 24 kwietnia. Do mieszkania bogatego restauratora tutejszego Jana Dolla, włamali się wczoraj w nocy rabusie, zamordowali Dolla i zrabowali kasę. Sprawców dotąd nie wyśledzono.

Poznań 24 kwietnia. Koloniści niemieccy pozamawiali u rzemieślników polskich towary, a potem nie chcieli odbierać ich pod pretekstem, że nie chcą narazić się regencyi. Wskutek tego np. pewien stolarz Polak poniósł znaczne szkody.

Paryż 24 kwietnia. Arcybiskup w Rouen Fuxet ogłosił list pasterski, w którym wyraża życzenie, aby z okazyi 100-letniej rocznicy konkordatu, dzięki któremu zarówno interesy religii, jak społeczeństwa znalazły ochronę, doprowadzono do skutku konkordat dla korporacyi duchownych. Urzeczywistnienie tego życzenia zapewniałoby Kościołowi i państwu trwały pokój. *Gaulois* dowiaduje się, że arcybiskup powziął plan utworzenia konkordatu dla kongregacyi duchownych podczas ostatniego swego pobytu w Rzymie i po konferencyach z kardynałem Rampollą, przychylnie dla tego planu usposobionym. Także najwybitniejsze polityczne osobistości we Francyi są zdania, że konkordat taki mógłby przyczynić się do ogólnego uspokojenia, jednakże gabinet Waldeck-Rousseau zachowuje się wobec tego projektu niechętnie.

Petersburg 24 kwietnia. Francuski minister spraw zagranicznych Delcassé odwiedził wczoraj hr. Lambsdorffa, który go następnie rewizytował. Po południu odbył się na cześć Delcassége obiad w ambasadzie francuskiej.

Londyn 24 kwietnia. Tutejsze Towarzystwo misyjne otrzymało z Sydney doniesienie, że oprócz dwóch misyonarzy angielskich zamordowano jeszcze dwunastu innych członków tamtejszej misyi.

Londyn 24 kwietnia. Izba gmin odrzuciła wniosek, żądający urządzenia rzymsko-katolickiego uniwersytetu w Irlandyi.

Londyn 24 kwietnia. W Izbie gmin oświadczył Cranbourne na odnośne zapytanie, że nigdy nie było mowy o zamianowaniu jenerała angielskiego głównodowodzącym wojsk sprzymierzonych w Chinach. Izba przyjęła 368 głosami przeciw 88 rezolucyę w sprawie zaprowadzenia nowego podatku dochodowego.

Budapeszt 24 kwietnia. Wczoraj odbyła się uroczysta instalacya nowego strażnika koronnego Beli Szecheny'ego i przewiezienie korony węgierskiej wraz z insygniami królewskimi do zamku.

Paryż 24 kwietnia. Dzienniki potwierdzają wiadomość, że znany aeronauta Godard zamierza niebawem przelecieć balonem o zawartości 11.000 m³ ponad ocean Atlantycki. Godard twierdzi, że odbędzie podróż przez Atlantyk w najpomyślniejszym wypadku w 5 dniach. W tej podróży powietrznej weźmie udział 10 osób. Koszta pokryje subskrypcya.

Wiedeń 24 kwietnia. Trybunał kasacyjny odrzucił zażalenie nieważności, wniesione przez Hilsnera, i zatwierdził wyrok śmierci, wydany przez sąd w Piseku.

Kapsztad 24 kwietnia. Urzędowo stwierdzono, że liczba wziętych dotychczas do niewoli Boerów wynosi 17.823 głów.

Grudziądz 24 kwietnia. Odbyło się tu zebranie hakatystyczne, które zawyrokowało: 1) Język polski ma być zupełnie zniesiony we wszystkich szkołach pruskich; 2) Na publicznych zebraniach mają Polacy mówić tylko po niemiecku. Referent redaktor *Gesselligera* domagał się, aby polskie gazety mogły wychodzić tylko równocześnie z tekstem niemieckim.

Poznań 24 kwietnia. *Kölnische Volkszeitung* wpływowy organ katolików niemieckich, omawiając naprężone stosunki polityczne pomiędzy Rosyą a Niemcami, pisze: „Z jakiejże racyi polityka nasza zwraca się przeciw Polakom, skoro sytuacya jest tak naprężona? Zdawaćby się mogło że rząd niemiecki uważa już Polaków i Rosyan jako sprzymierzonych i dlatego chce z Polakami toczyć walkę.

„Znaczy to, że wyrzekliśmy się zamiarów *captatio benevolentiae* w Petersburgu. A przecież każdy rząd na wypadek międzynarodowych zatargów stara się swe pogranicze utrzymać o ile możności w spokoju. Niechajże więc Bogu dziękuje każdy, kto za tak przewrotną politykę nie będzie potrzebował brać na siebie odpowiedzialności."

Kijów 24 kwietnia. W jednem z miast powiatowych na Ukrainie wykryto socyalistyczną drukarnię.

Rada państwa.

Wiedeń 24 kwietnia. Posiedzenie rozpoczęło się dopiero około trzy kwadranse na 12 (czas wied.) z powodu konferencyi przewodniczących klubów. Rozpoczęło się odczytywaniem interpelacyj i wniosków. Prezydent prosił, aby ze względu na to, że aż 18 mówców zapisanych jest do głosu do różnych petycyj, — mówcy jak najbardziej się streszczali.

Poseł F r e s s l żalił się dlaczego nie odczytano wniesionej przez niego interpelacyi czeskiej. Podczas czytania wniosków i interpelacyj wręczył poseł Pernerstorfer prezydentowi imieniem stronnictwa socyalistów wniosek nagły w przedmiocie zniesienia § 64 ustawy karnej, traktującego o obronie członków domu cesarskiego.

Po odczytaniu interpelacyj zapytał przewodniczący, kto popiera nagłość wniosku Pernerstorfera. Ponieważ przeszło 20 posłów oświadczyło się za uznaniem wniosku tego za nagły, wniosek wszedł natychmiast pod obrady. Inne bowiem dawniej wniesione wnioski nagłe wnioskodawcy już byli cofnęli. Rozpoczęła się tedy dyskusya. Pierwszy zabrał głos wnioskodawca P e r n e r s t o r f e r.

W uzasadnieniu wniosku swego zaznacza P e r n e r s t o r f e r konieczność walki przeciw klerykalizmowi, który wyrządza wielkie szkody Austryi i rodowi Habsburgów. Klerykalizm uosabia obecnie arcyks. Franciszek Ferdynand, nie jest więc możliwem walczyć przeciw klerykalizmowi bez krytykowania osoby arcyksięcia. Podczas mowy Pernerstorfera, wywiązała się żywa wymiana słów między Szenererowcami a socyalistami z jednej strony, a katolikami z drugiej. Wrzawa stała się tak gwałtowną i namiętną, że prezydent musiał posiedzenie przerwać. Podczas przerwy wrzawa trwała dalej. Po 5 minutach podjęto napowrót obrady. Przemawia Pernerstorfer. Posiedzenie trwa dalej.

Wiedeń 24 kwietnia. Między odczytanymi dziś wnioskami znajduje się wniosek p. Steina i towarzyszy w sprawie wydania ustawy przeciw dalszemu pobytowi OO. Jezuitów w Austryi. Wnioskodawcy cytują wiele ustępów z ksiąg naukowych OO. Jezuitów i stawiają następujący wniosek: „Wzywa się rząd, aby natychmiast zarządził śledztwo w sprawie tych nauk, rozpowszechnianych przez Jezuitów i aby jak najrychlej przedłożył ustawę, na mocy której zabronionyby był Jezuitom pobyt w krajach w Radzie państwa reprezentowanych.

Wypadki w Chinach.

Nowy Jork 24 kwietnia. Do *New Jork Herald* donoszą z Pekinu, że posłowie Anglii, Francyi, Stanów Zjednoczonych, Holandyi, Belgii i Włoch na ostatniej konferencyi postanowili żądać od pełnomocników chińskich ukarania śmiercią jeszcze 4 dygnitarzy chińskich i banicyi dla 80 innych urzędników.

Pekin 24 kwietnia. Jenerał Voyron zawiadamia, że jest zamiar, aby 10.000 wojsk francuskich opuściło Chiny w połowie maja w przypuszczeniu, iż niemiecko-francuska ekspedycya do Paotingfu będzie odwołana. Zapowiedziany wyjazd wojsk francuskich wywołał jednak wielkie zaniepokojenie u zamieszkałych tamże Francuzów, niemniej u nawróconych na katolicyzm Chińczyków, którzy obawiają się wznowienia zeszłorocznych rozruchów.

Berlin 24 kwietnia. Do „Biura Wolfa" donoszą z Pekinu: Patrole, wysłane aż po Kalgan, nie napotkały na wojska chińskie. Lihungczang donosi, że wojska jenerała Liu cofnęły się do prowincyi Szansi. Waldersee donosi, że oddziały Baillouda i Kettlera dotarły bez walk do wielkiego muru, stanowiącego granicę z prowincyą Szansi. Dziś zostanie stracony morderca kapitana Bartscha na miejscu, w którem czyn popełnił.

Londyn 24 kwietnia. Mocarstwa żądają od Chin odszkodowania w łącznej sumie 450 milionów taelów.

HOTEL GEORGE.

Przyjechali dnia 24 kwietnia. Książę St. Jabłonowski z Bursztyna. Hr. K. Romer z Brzuchowic. St. Moysa z Rudnik. St. Jurski z Borysławia. T. Bohdan z Zadwórza. M. Dresner i J. Horowitz z Bodmi. M. Steuermanowa z Sambora. L. Brauns z Wygody. Ks. B. Spewski i ks. biskup Zwierowicz z Wiednia. Dr. L. Doboszyński z Krakowa. Ks. J. Korduba z Brzeżan. E. Rosenthal z Katowic. Ks. W. Szmydy z Rudnik. E. Corsica z Altenburga.

HOTEL IMPERIAL

Lwów — ul. Trzeciego maja.

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia

Przyjechali dnia 24 kwietnia. L. hr. Dembicki z Jaworowa. S. hr. Konarski z Dubiecka. H. br. Christiani z Krakowa. Ks. L. Solecki z Brzeżan. Ks. W. Cichy z Przemyśla. J. Polenz i L. Engel z Wiednia. S. Ungar z Koszyc. J. Kintzi z Luczyc. Ks. K. Łotocki z Rohaczyna.

HOTEL FRANCUSKI

plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 24 kwietnia. M. Moszczeńska z Liska. E. Konstanowicz z Sanoka. J. Koblizek, H. Pongratz i N. Zeisler z Wiednia. F. Rosenbluth z Lubaczowa. L. Deller z Kołomyi. R. Klukowski i S. Orda z Litwy. A. Abgarowicz z Bratyszowa. S. Metena z Lubieńca. F. Bilińska z Żółkwi. F. Ziffer z Klosterneuburga. S. Obrzudowie z Brzeżan. N. Kulczycki ze Lwowa. M. Krajewska i O. Lekczyńska z Remanowa. L. Thom z Turynki.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 24 kwietnia. Kursa giełdy wiedeńskiej.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 247.—
" " " " " " 1889 3% 245.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k. 4% 400.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 258.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 239.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 82.—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 110.50

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 16.50, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 399.00, Clary 40 zł. m. k. 146.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 75.—, Losy m. Krakowa 20 zł. 72.—. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 57.50, Ofen 40 zł. 159.—, Palffy 40 zł. m. k. 159.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 49.50, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 25·25, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 58·—, Salma 40 zł. m. k. 232.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 74.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 234.—, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 389.50.

Wiedeń 24 kwietnia. (Giełda towarowa). Cukier (stale) 23·60. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (niezmieniony) 39·80.

Berlin 24 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·00. Spirytus 44·20.

Paryż 24 kwietnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·25. Mąka („Fleur de Paris") 23·35.

Frankfurt 24 kwietnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 218·80. Koleje państwowe 148·75. Alpiny 000·00. Disconto 188·60. Laura 000·00.

Wiedeń 24 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na wiosnę 7·91—7·92, na maj-czerwiec 7.91—7·92, na jesień 8·03—8·04; żyto na wiosnę 8·03—8·04, na maj-czerwiec 7·90—7·92, na jesień 7·11—7·12; kukurudza na maj-czerwiec 5·55—5·56, na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 5·66—5·67, na wrzesień-październik 5·84—5·85; owies na wiosnę 6·96—6·98, na maj-czerwiec 6·96—6·97, na jesień 5·98—6·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 13·70—13·80. Olej rzepakowy na kwiecień-maj 0·00—0·00, na wrzesień-grudzień 00·00—00·00. Tendencya: pewna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 24 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 7·61—7·62, na maj 7·62—7·63, na październik 7·74—7·75; żyto na kwiecień 7·73—7·74, na październik 6·71—6·72; owies na kwiecień 6·78—6·80, na październik 5·58—5·60. kukurudza na maj 5·27—5·28, na lipiec 5·37—5·38. Rzepak na sierpień 13·25—13·30. — Oferty na pszenicę: dostateczne. Chęć kupna mierna. Tendencya: słaba. Pogoda: pochmurno.

57)

Prawo starszeństwa

POWIEŚĆ

Champcla.

(Ciąg dalszy).

Queenie rozumiała teraz powody niepokoju, jaki dręczył ją od dnia poprzedniego.

Było to przeczucie wielkich katastrof, coś na podobieństwo tego, czego i sama przyroda doświadcza, gdy błyskawice zapowiadają burzę, gdy przed trzęsieniem ziemi słychać huk wód i szum w powietrzu.

Wtedy owady kryją się pod trawę, ptactwo ucieka wystraszone, nawet dzikie zwierzęta drżą i ryczą z przerażenia.

Jeden tylko człowiek zapomina czasami lękać się i szukać schronienia.

Jego wyobraźnia podniecona, bierze górę nad instynktem.

Gdy inne istoty myślą tylko o tem, jak ocalić życie, on pragnie widzieć i to jest jednym z jego przywilejów.

Rzeczywiście, niektóre zwierzęta obdarzone są względną inteligencyą, lecz tylko człowiek posiada ciekawość.

Ciekawość ta była w Queenie uczuciem panującem nad wszystkiemi innemi.

Teraz nadeszła chwila zaspokojenia jej. Należało dowiedzieć się, kto tam przebywał i co robił.

Potrzeba ta ogarnęła ją tak dalece, że pozbawiła ją nawet przezorności.

Jak zahypnotyzowana, stała z oczyma utkwionemi w smugę światła i czekała. Niedługo oczekiwała.

Świetlna smuga zmieniła położenie.

Ciężkie drzwi żelazne poruszyły się i na progu pokazał się jakiś mężczyzna, lecz tylko na chwilę, gdyż cofnął się natychmiast, jak gdyby wracał po jakąś rzecz zapomnianą.

W mężczyznie tym Queenie poznała Waltera.

Ale zamiast podejść ku niemu, lub wezwać go po imieniu, pozostała w ciemności.

Nawet obawa o niego ustąpiła w niej przed nieprzepartą potrzebą rozjaśnienia tajemnicy.

Podeszła na palcach i spojrzała przez uchylone drzwi.

Walter stał przy stole, oświetlonym małą lampką i nachylony, oglądał jakiś klucz. Poczem nałożył go na sznureczek czy też łańcuszek zawieszony na szyi i pośpiesznie ukrył pod ubraniem.

Następnie wziął lampkę i wyszedł z biblioteki.

Queenie pozwoliła mu oddalić się o kilka kroków, aż do załomu korytarza i wtedy dopiero pobiegła za nim, wołając:

— Walterze, to ja!

Nie wahała się już więcej.

Sama Opatrzność zesłała jej sposobność pomówienia z Walterem; nie można pominąć jej, jak poprzednie.

Walter odwrócił się ku niej, i nie objawiwszy najmniejszego zdziwienia, zapytał:

— Chciałaś widzieć się ze mną? Przybywasz w porę!

Queenie nigdy nie widziała go tak bladym i nie słyszała go przemawiającego głosem tak bezdźwięcznym, grobowym.

Ale nie miała czasu objawiać zdziwienia.

— Porządkowałem moje sprawy — mówił dalej. — Niepokoiło mnie to, żem wcześniej tego nie uczynił. Bo widzisz, Queenie, musi się to dziś odbyć. Teresa, utrudzona ciągłem czuwaniem nademną, zasnęła, więc skorzystałem z tego i wymknąłem się na chwilę. Lecz oni pochwycą mnie. Nie mogę uciec, a chociażbym i mógł, nie uczynię tego. Chartranowie nie ratują się ucieczką. Twarzą zwracają się do nieprzyjaciela, chociażby najliczniejszego. Z wyjątkiem ciebie, wszyscy są tutaj mymi nieprzyjaciółmi i pragną mojej śmierci!

Queenie wydała okrzyk zgrozy, stłumiony na jej ustach ręką Waltera.

— Cicho! — zawołał — na miłość Boga, cicho! Gdyby dowiedzieli się, że odkryłem ich spisek i że zamierzam bronić się, byłbym zgubionym. Pozbawiliby mnie ostatniego środka, jaki mi pozostał, środka pewnego, który mi pozwoli odnieść tryumf nad nimi i wydobyć się z ich szponów. Zdawało im się, że wszystko przewidzieli. Zobaczysz; pozbawili mnie wszelkiej broni. Ale nie pomyśleli o tej i ona mi wystarczy. Myślą, że jestem tu zamknięty, że przeszkodzi mi śnieg, ale ja mam kryjówkę, tuż obok i dopadnę jej, jeżeli do jutra nikt mnie nie zdradzi. Nie mów więc nikomu ani słowa. Błagam cię na wszystko, niczem nie daj poznać po sobie, jeżeli nie chcesz być odpowiedzialną za mą zgubę!

Queenie nawet w najsmutniejszych swoich przewidywaniach, w chwilach najczarniejszych myśli, które uważała za niedorzeczne i szalone, nie wyobrażała sobie nic podobnego, to też słuchając go, uczuła śmiertelny dreszcz, przechodzący po ciele i przenikający do serca i mózgu.

Nie wiedząc co odpowiedzieć, wyjąkała:

— Walterze... jeżeli rzeczywiście tak myślisz, jak mówisz... to pozwól mi wezwać...

— Kogo? Nowych nieprzyjaciół? Tu niema innych osób.

— Ależ, dlaczego nie wyjechać... nie ratować się?

— Którędy?

Queenie nic nie odrzekłszy, pochwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą tą samą ciemną drogą, którą przebyła sama.

Doszła do małych drzwi ciotki Kiddy, otwartych przed chwilą, lecz napróżno usiłowała otworzyć je.

Drzwi były już zamknięte z wewnątrz.

Queenie nie zastanawiała się nawet nad tem, jakim sposobem to się stało; należało przedewszystkiem odszukać wyjście inne, więc postanowiła znaleźć je za jaką bądź cenę.

Ale Walter powstrzymał ją.

— Bądź pewna — rzekł z rezygnacyą — że wszystkie drzwi są zamknięte. Stefan nie zapomniał przedsięwziąć wszelkich ostrożności. Pozwolił ci wejść dlatego, że chciał, ale mnie nie wypuści.

Stefan! przeklęty spólnik Teresy! szpieg, zły duch, żywe widmo tego domu, zjawiające się wszędzie jednocześnie.

Teraz dopiero przypomniała sobie, że wchodząc do pałacu, słyszała za sobą lekki szmer na śniegu, lecz nie widziała nikogo.

To on był.

— On! — powtórzyła Queenie — dlaczego?

— On i wszyscy: Kiddy, Edwin Brent, Teresa — odrzekł, wymieniwszy to ostatnie imię ze łkaniem.

Queenie zastanowiło jeszcze inne imię, które potwierdzało słowa Waltera.

Nie mylił się on, gdyż ten, którego nazwał Edwinem Brentem, przebywał w sąsiedztwie, może w tej chwili znajdował się w pałacu, a sama jego obecność dowodziła istnienia jakiegoś planu zbrodniczego.

Mimo to Queenie pragnęła jeszcze szukać wyjścia.

Podeszła do okna i otworzyła je.

— Wyjdźmy i wezwijmy pomocy.

Lecz Walter zatrzymał ją.

— Nie. Czuwają naokoło zamku. Należy czekać nocy. Bądź spokojną, poradzę sobie. Oby tylko nie dowiedzieli się o moich zamiarach. Niech do rana myślą, że jestem głuchy i ślepy. Pomóż mi wprowadzić ich w błąd. Udawaj spokojną jak ja. Niech nikt nie wie, że widziałaś się ze mną.

Umilkł.

Rozległ się dźwięk dzwonu wzywającego na obiad.

— Co pomyśleliby, gdybym się spóźnił? — zawołał Walter i jak ścigany zwierz dziki pobiegł w głąb pałacu.

Queenie ocknęła się, jak gdyby ze snu strasznego.

Ale nie był to sen.

Najstraszniejszy nawet sen nie wywołuje takiego potu śmiertelnego i nie pozostaje w pamięci tak wyraźnie.

Miała jeszcze przed oczami dziki wyraz twarzy i ostatnie słowa Waltera.

I właśnie te słowa przypominały jej rzeczywistość i ciężący na niej obowiązek.

Nogi pod nią chwiały się i krew w skroniach pulsowała tak gwałtownie, iż zdawało się jej, że rozsadzi głowę i uwolni od wrzących w niej myśli.

— Nie można do tego dopuścić — szepnęła, ściskając dłońmi czoło.

W jasno oświetlonym westybulu przypomniała sobie, że ją zobaczą i będą się jej przyglądać, że chociaż zdoła nakazać milczenie ustom, to nie potrafi zapanować nad wyrazem oczu i twarzy.

Skąd pochodzi ten chłód, przenikający ją do głębi?

Spojrzała w lustro i zdumiała się.

Twarz miała czerwoną od wiatru, włosy mokre i potargane, na głowie i płaszczu śnieg, spódnicę mokrą po kolana, buciki rozmoczone.

Wyglądała jak podróżny, którego na drodze zaskoczyła burza.

Nagle uradowała się z tego.

Wygląd ten łatwiej ukryje jej stan duszy.

Nikogo nie zdziwi jej wzruszenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.